Cena egzemplarza

w W.Brytanii 6 d.
w Belgii 5 fr. b.
we Francji 10 fr. fr.
w Szwajcarii 0,40 fr.szw.
w Szwecji 60 öre
we Włoszech 30 lir

Warunki prenumeraty oraz adresy redakcji i administracji na str. 6.

ORZEŁ BIAŁY

ZWYCIĘŻYMY

Polska walcząca o wolność

Rok VII Wtorek 18 lutego 1947 r. Nr 7 (241)

W NUMERZE

TAD. BORN — Żołnierskie kłopoty
ST. STA. — Atomowe troski rosyjskich pisarzy
* * * — Notatki
RYSZARD WRAGA — Wzór syntezy
ZYGM. NAGÓRSKI jr. — W obronie propagandy
T. NOWAKOWSKI — Listy z Londynu (III)
Z. FLORCZAK — Bonnard umarł
Z. ZBICIŃSKI — Dzień uwolnienia
* * * — Odbudowa zabytków w stolicy
Inż. A. GAC — Ostatnie poglądy na budowę atomu.
J. J. — Francuski eksperyment społeczno-ekonomiczny
ST. R. — Kronika gospodarcza
* * * — Sylwetki

W Londynie o „wyborach"

Na innym miejscu podajemy sprawozdanie z rozprawy w Izbie Gmin na temat „wyborów" w Polsce. Z oświadczenia złożonego tam przez wiceministra Mayhew wynika, że rząd brytyjski nie uznaje „wyborów" za wykonanie przez administrację warszawską jej zobowiązań międzynarodowych, ani też za „prawdziwy wyraz woli narodu polskiego". Przedstawiciel rządu brytyjskiego stwierdził przy tym że „sympatia nasza (brytyjska) jest wyraźnie po stronie narodu polskiego, który został w ten sposób pozbawiony swoich praw demokratycznych". Na zapytanie wszakże, co rząd brytyjski ma zamiar nadal uczynić w tej sprawie, p. Mayhew odpowiedział, że rząd brytyjski „poweźmie decyzję w zależności od postępowania nowego rządu polskiego".

Wynika z tego, że na razie przynajmniej rząd brytyjski nie przewiduje żadnych drażliwszych zmian w swej polityce wobec administracji warszawskiej. Jak sobie można wyobrazić z wystąpienia p Mayhew, stosunki dyplomatyczne z Warszawą nie będą zerwane (choć ambasador będzie odwołany) „nowy rząd polski" będzie de facto uznawany, nie będzie tylko obecny „sejm" uznawany za wyraz woli narodu polskiego. Ambasador brytyjski w Warszawie tak, jak jego kolega amerykański, dał to demonstracyjnie do zrozumienia, uchylając się od przybycia na otwarcie tej instytucji. A poza tym rząd brytyjski zajmie stanowisko obserwacyjne, zastrzegając sobie decyzję na przyszłość. „Times" w omówieniu swym zaznacza, że „różne polityczne, finansowe i gospodarcze zagadnienia — rozważane między Polską i Zachodem, a które swego czasu uzależniono od wykonania polskich zobowiązań wyborczych pozostaną w zawieszeniu".

Stanowisko to jest na pewno dalekie od tego, co mogli sobie może wyobrażać ci wszyscy, którzy sądzili, iż „wybory" mogą zmienić w czymkolwiek położenie w Polsce. Co prawda rząd brytyjski dość silnie związał się z polityką wyborów w Polsce. Obietnica przeprowadzenia ich w sposób uczciwy stanowiła jedyne ustępstwo, uzyskane przez dyplomację brytyjską i amerykańską w Jałcie i w Poczdamie. Od tego czasu polityka obu mocarstw anglosaskich wobec Polski opierała się przede wszystkim na tym argumencie wyborczym. Świadczy o tym seria not brytyjskich i amerykańskich do Warszawy najpierw w sprawie przyspieszenia wyborów, a następnie uczciwego ich przeprowadzenia. W istocie jednak od samego początku polityka mocarstw anglosaskich pozbawiona była argumentów, które mogłyby być przekonywające zarówno dla Warszawy, jak i dla Moskwy.

Jesteśmy już w tym szczęśliwym położeniu, że nie potrzebujemy powoływać się na to, co sami pisaliśmy na ten temat, ale wystarczy nam odwołać się do tego, co głosi dziś otwarcie czołowy publicysta amerykański p. Lippmann. Twierdzi on obecnie z całym przekonaniem, że system sowiecki liczy się tylko z tymi argumentami, które poparte są siłą.

Nie byliśmy nigdy zwolennikami „polityki wyborczej" w Polsce, ale gdyby miała ona zakończyć się powodzeniem, żądania w sprawie przeprowadzenia „wolnych i nieskrępowanych wyborów" powinny były być poparte znacznie silniejszmi argumentami od not dyplomatycznych. Nad prawidłowością wyborów powinna była czuwać komisja międzynarodowa, obce wojsko i policja powinny były być z Polski usunięte, a nawet nie zaszkodziłyby mocniejsze jeszcze argumenty, takie choćby, jakie zastosowano niedawno demonstrując siłę w obronie Grecji i Turcji. Nie doszłoby wówczas na pewno do żadnych groźniejszych powikłań, ale ambasadorzy brytyjski i amerykański uzyskaliby w Warszawie znacznie silniejsze stanowisko i mogliby choć częściowo równoważyć wpływy wszechpotężnego ambasadora sowieckiego Lebiediewa.

Można było wreszta zastosować inną metodę, to znaczy dążyć do zgrania chwili wyborów w Polsce z takimi posunięciami na arenie międzynarodowej, które zmierzałyby już wyraźnie do uporządkowania w całości sprawy europejskich. To nie nastąpiło. Wybory były raczej oderwanym wydarzeniem, bardzo charakterystycznym co prawda, lecz praktycznie niewłączonym jszcze do nurtu spraw międzynarodowych. Nie mogły się też stać dla nas jutrzenką wolności... Jeśli też jaka nauka raz jeszcze wynika z tej polityki „wyborczej", to chyba konieczność umiejętnego i czujnego uwzględniania w naszej taktyce politycznej ogólnego układu sił w polityce międzynarodowej oraz zaznaczających się dążeń. Skoro znacznie potężniejsze od nas siły stosują dziś z całą świadomością politykę daleko idącej ostrożności i cierpliwości w rozwiązywaniu swoich zagadnień, nie ma powodu byśmy i my postępowali inaczej po tylu stratach poniesionych z ofiarnością bezprzykładną, w czasie wojny z Niemcami.Nie możemy zapominać, że odzyskanie przez nas niepodległości nastąpić będzie mogło w chwili, gdy dojrzeją w świecie idee, zmierzające do organizacji Europy i świata na podstawie prawdziwej wolności.

Oczywiście źródłem naszych sił i naszej wiary pozostanie naród. Żaden układ sił nie da nam lub nie zapewni nam wolności, jeśliby naród polski osłabł w swej woli odzyskania jej. Pozytywną stroną oświadczenia brytyjskiego jest też uznanie tej woli narodu polskiego, jest rozróżnienie między narodem, a narzuconą mu totalistycznymi metodami garstką obecnych jego władców.

Wiele teraz będzie zależało od tego, w jakim stopniu rząd brytyjski potrafi to rozróżnienie przeprowadzić i utrzymać w polityce praktycznej tak, by jego zatarg z administracją warszawską nie odbijał się na prawach oraz interesach narodu polskiego, lecz przeciwnie, by polityka brytyjska dawała istotnie wyraz swej sympatii dla narodu polskiego, o której mówił p. Mayhew. A myślimy tu o narodzie polskim zarówno w Kraju, jak i na obczyźnie. Wiemy przecież, że propaganda warszawska czyni wszystko, by przedstawić W. Brytanię i Stany Zjednoczone za wrogów nie tyle administracji warszawskiej, co narodu polskiego. Te chwyty winny być bardziej niż kiedykolwiek systematycznie utrącane.

RP.

Rysunek zamieszczony przez tygodnik „Time and Tide" z napisem „Polska Żelazna Kurtyna"

Rachunek zysków i strat

Jerzy Prądzyński
(Jan Podolski)

Rozczarowanie, ogarniające dziś społeczeństwo polskie, gdy porównywa ono swój los powojenny z ogromem bezprzykładnych poświęceń dla zwycięstwa sprawy sprzymierzonych, jest nie tylko zrozumiałe, ale i w pełni uzasadnione. Nie mamy zresztą na świecie ludzi świadomych i uczciwych, którzy by tych uczuć z narodem polskim nie podzielali. Nie dziwmy się jednak, że są tu i owdzie ludzie źle poinformowani i że z ich strony możemy się spotkać z brakiem zrozumienia. Nie dziwmy się też, że trafiają się ludzie złej woli — i tacy są wszędzie. Lub, że często ci nawet, co w głębi duszy są z nami, nie dają temu teraz publicznie wyrazu. Może mają powody ku temu — mniejsza o to jakie. Przyjmijmy, że są i tacy.

Najprzód jednak — gwoli bezstronności — przyznajmy, że nie tylko my jesteśmy rozczarowani. Nie tylko w nas tkwi poczucie niezasłużonej krzywdy i niezliczonych naprzód. Wnioski ze świeżych doświadczeń trzeba wyciągać już dziś, w miarę naszych możliwości.

Wydaje się, że społeczeństwo polskie weszło było do wojny z dość uproszczonym obrazem sytuacji i jej możliwego rozwoju. Poczucie słuszności sprawy własnej i wspólnej, w połączeniu z wiarą w zdolności i potęgę sprzymierzeńców, stworzyło grunt, z którego wyrosło przede wszystkim przekonanie o istnieniu obowiązku walki stałej, bezwzględnej i bezkompromisowej. Prowadził ją rzeczywiście cały naród polski, w atmosferze nieustannego i, rzec można, „zorganizowanego" uniesienia. Uniesienie to jednak sprawiło, że cały niemal wysiłek poszedł w kierunku akcji wojskowej, podczas gdy to, co się działo w tej wojnie poza ściśle wojskową (jawną czy podziemną) rozprawą — było dla walczącego społeczeństwa polskiego czymś odległym, niezbyt zrozumiałym, choć czasami oburzającego sprzecznym z jego linią postępowania. Ponad wszystkim górowało przeświadczenie, że sprawiedliwy koniec będzie niejako nagrodą za wielkość poświęceń, za lojalność i wierność. To przeświadczenie było błędne z gruntu, bo oparte na mylnych założeniach.

Albowiem związek pomiędzy takimi wartościami jak poświęcenie i wierność z jednej strony, a uchwytnymi sytuacjami w polityce międzynarodowej, nie jest ani prosty ani bezpośredni. I religia nie obiecuje za nie nagrody już teraz, w życiu doczesnym, choć wyznacza im ważną rolę w stopniowej poprawie ludzkich dusz na tej ziemi. Polityka zaś, będąc mądrością praktyczną i niższego rzędu, spokojnie waży korzyści i straty, a służy sprawie zachowania doczesnego bytu narodów i państw.

Jednak ktokolwiek się zetknął z przejawami życia politycznego w Polsce przedwojennej, ten wie, jak silnie czynniki uczuciowe górowały, w polskiej opinii publicznej, nad czynnikami chłodnej rozwagi, w odniesieniu do spraw polityki zewnętrznej. Ten stan rzeczy zawsze utrudniał prowadzenie jakiejkolwiek polityki — każda polityka bowiem jest właśnie sprawą rozwagi i umiaru. Nic więc dziwnego, że wystąpienia najbardziej pod względem politycznym wątpliwe, wywoływały często największy entuzjazm.

Można sprzeczać się o to, czy winę za ten stan rzeczy ponoszą jakieś przyrodzone nasze skłonności, czy też stuletnia walka o zachowanie bytu narodowego, gdy „szaleństwo" musiało być naszym „rozumem". Prawdą jest, że uniesieniom podlegają wszystkie społeczeństwa, w mniejszym czy też większym stopniu. My podlegamy im chyba dość łatwo. Tę wrażliwość potęgował brak dostatecznej ilości wyrobionych politycznie przywódców, zwłaszcza na niższych szczeblach organizacji społecznej, którzy byliby czynnikami równowagi i umiarkowania. Ba, istniały nawet ugrupowania i ruchy, których nie tylko programy (to jeszcze łatwo zrozumieć), ale i praktyczna działalność w dziedzinie polityki zagranicznej była przede wszystkim uczuciowej natury. W tych warunkach społeczeństwo polskie było dość czułe na wpływy, idące z zewnątrz, a zmierzające — rzecz jasna — do zabezpieczenia przede wszystkim obcych interesów.

Wszystkie te czynniki razem wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie zaważyły silnie na zasadniczych rozstrzygnięciach — te bowiem narzuciła konieczność ponad wszystko mocniejsza. Zaważyły jednakże, jak się wydaje, na **sposobie** ich przeprowadzenia w następnych latach wojny.

Przebieg działań wojennych oraz rachunek strat wykazały, że państwa i społeczeństwa prowadziły wojnę z niezwykłą dbałością o oszczędzanie krwi, rozrządzając nią tylko wówczas, gdy to było konieczne. Cel ten przyświecał politycznemu zwłaszcza kierownictwu tych społeczeństw. Z naszej strony, jako społeczeństwa, nie widać tej dbałości (mówimy tutaj nie o bitwach, lecz o sposobie przeprowadzenia całości rozprawy). Można na to odpowiedzieć, że rozrządzanie krwią w znacznej mierze nie zależało od nas samych, lecz było niemal całkowicie w rękach okupantów, z góry zdecydowanym na masowe morderstwa. Tak zapewne było. Czy jednak całkowicie i czy te możliwości oszczędzania niepotrzebnego użycia krwi, w kraju nade wszystko, które jeszcze istniały, zostały rzeczywiście wzięte pod rozwagę? Oto pytanie, na które nie można dać dziś jeszcze pewnej odpowiedzi, ale które powstaje z niepomiernie wysokiej ilości naszych strat. Może być zresztą, że wszelkie w tym kierunku wysiłki napotkałyby były w swoim czasie na opór ze strony samego społeczeństwa polskiego.

Ze szczególnym rozczarowaniem widzi ono dziś, że te narody, których udział w walce był raczej połowiczny, a od naszego niepomiernie mniejszy, choć propagandowo i politycznie zręcznie wykorzystywany, osiągnęły nie tylko dość duże wyniki, ale i cieszą się stosunkowo bardziej istotnym uznaniem. Cieszymy przyjąć, że tak jest, życząc im dalszego powodzenia. Ale powinniśmy też wyciągnąć stąd na przyszłość wniosek, że owo istotne uznanie i owe wyniki są nie tylko rentą lepszego położenia geopolitycznego, ale i właśnie nagrodą za umiejętność przewidywania, za ostrożność, za trzeźwą ocenę własnych i cudzych możliwości, no i za pewną nieczułość na cudze pochwały czy też na ich brak.

Trzeba się uczyć i od wrogów, nie poprzestając na słuchaniu rad bardzo nawet życzliwych przyjaciół. Każdemu radzimy przeczytać inteligentnie i zwięźle napisany raport, jaki w sierpniu 1938 złożył niemiecki ambasador w Warszawie von Moltke ministrowi spraw zagranicznych Rzeszy Ribbentropowi. W ocenie różnych pierwiastków położenia niepoślednie miejsce zajmuje tam również i nasze ryzykanctwo. Von Moltke mylił się prawdopodobnie sądząc, że miało ono decydujący wpływ na ostateczne nasze decyzje. Ale nie mylił się chyba w tym, że wpływ tego czynnika na metody naszego postępowania był zawsze dość znaczny.

Czasy, które nadchodzą, będą wymagały od społeczeństwa naszego, zarówno w kraju jak i zagranicą, ponownego zwiększenia czujności i bardzo trzeźwej oceny sytuacji. Podobnie jak błędem było spodziewać się wynagrodzenia, równego w swej wartości ofiarom, składanym może zbyt hojnie — tak i błędem byłoby poddawanie się dziś krańcowym zniechęceniom. To, czego istotnie nam będzie potrzeba, to dokładnego zdawania sobie sprawy z rozwoju wydarzeń, którego pierwiastki w dużej mierze nie w naszym są ręku. Zawsze jednak w **pewnym stopniu** będziemy mogli, jako całość, wpłynąć na nasze losy. Uczynimy to tym lepiej, im mniej będziemy ochopni w składaniu niepotrzebnych ofiar, im ostrożniej mierzyć będziemy nasze wysiłki miarą ich rzeczywistej przydatności, a nie ich chwilowego efektu na zewnątrz. Negatywne stanowisko polskiej emigracji niepodległościowej wobec wszelkich prób podejmowania w kraju jakichkolwiek przedsięwzięć, które w wyniku doprowadziłyby do nowych i bezużytecznych strat, jest dowodem dojrzałej rozwagi. Po doświadczeniach, które przeszliśmy, nikt temu dziwić się nie będzie. „Strzeżonego Pan Bóg strzeże".

W Warszawie podczas wyborów

(„Europe Amerique")

KAZIMIERZ SOWIŃSKI

W ziemię zimną kropla:

Nie łza. Ze stratowanych czół
w grudę nieczułą pot ścieka.
Nie ma oczu pod zaciśniętą powieką,
tylko ten dygot w rozpędzie kół
przez pusty świat.

Gdy bijemy jak górnicy oskardem
w oporne ścięgna ziemi:
nie krew. Nitka czerwieni
wypruwa się naszym śladem
przez pusty świat.

W ostrzu oskarda jak mina błysk
niemą iskrą zatętni z nagła:
nie pieśń. Żebra pokładów zginają się w krzyż
i niebo jak czarna chorągiew opada
na pusty świat.

Strumykiem szyn powoli toczy się czas.
Świt. Mrok. I znowu dnieje.
A w zmiażdżonym oddechu rozkołysany las
coraz to ogromnieje
w świat

BAZY AMERYKAŃSKIE I GRANICE NAD ODRĄ

Obok bomby atomowej i sprawy chińskiej zagadnienie tzw. „baz" stanowi równie doniosłą, jak dwie pierwsze, przyczyną naprężenia stosunków między St. Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim.

Spór o bazy poza konkretnymi celami natury organizacyjno-wojskowej, jest w swej istocie sporem o ogólną formę bezpieczeństwa pokojowego. Sens bowiem tej walki nie leży w zagarnięciu pod wyłączną kontrolę tej lub owej wyspy, lecz w tym czy ostatecznie mocarstwa przyjmą zasadę zbiorowego bezpieczeństwa, czy też przełożą ponad nią bezpieczeństwo indywidualne.

Innymi słowy czy obowiązywać będzie w dalszym ciągu zasada jałtańska „granic strategicznych" i „stref bezpieczeństwa" i „wpływów", której konsekwencją jest pozbawienie wolności większości państw Środkowej Europy oraz Polski, czy też zwycięży ostatecznie forma bezpieczeństwa gwarantowanego przez O. N. Z. i tego rodzaju układy, jak zaproponowany swego czasu przez Byrnesa pakt wielkich mocarstw w sprawie kontroli Niemiec. Jeśli pod tym kątem widzenia popatrzymy na amerykańsko-rosyjski spór o bazy, to wówczas zrozumiemy, że my Polacy jesteśmy w tym sporze jak najbardziej zainteresowani. Podnosząc kwestię granic polsko-niemieckich i aktualizując zainteresowania sprawą polską, chociażby w takiej formie, jak to zrobił Truman z okazji odbierania listów uwierzytelniających od p. Winiewicza — Amerykanie nie robią tego ze względu na sprawę niemiecką, ani też tylko dla pozyskania głosów Amerykanów polskiego pochodzenia w zbliżających się wyborach prezydenckich. Jest to także fragment walki o znacznie szerszym zasięgu, pociągnięcie dyplomatyczne świadczące o tym, iż Amerykanie zrozumieli już, iż istnieje związek między bazami na wyspach Mariańskich, Okinawa itd. i bazą rosyjską w Polsce. Dlatego należy zwrócić baczną uwagę na to zagadnienie, gdyż i z tych powodów może sprawa polska stać się w pewnym stopniu przedmiotem przetargu dwóch mocarstw.

Spór amerykańsko-sowiecki o bazy rozpoczął się „oficjalnie" w kwietniu 1945 roku, kiedy to na krótko przed konferencją w San Francisko admirał King zażądał oddania pod kontrolę amerykańską tych baz na Pacyfiku, za które zapłacono „ofiarę z krwi amerykańskiej". Ujawnienie tajnej klauzuli dopaktu jałtańskiego, nieznanej aż do lutego 1946 r. nawet Byrnesowi, w której to klauzuli Roosevelt zobowiązał się oddać Rosji Wyspy Kurylskie, wywołało w Ameryce wielkie poruszenie.

Wojskowe koła amerykańskie, a także już i bardzo szeroką opinię publiczną zaniepokoił wzrost zainteresowania Moskwy Alaską. Bezpośrednio po wybuchu rewolucji bolszewickiej, po ujawnieniu dokumentów carskich dotyczących sprzedaży Amerykanom Alaski, nowi władcy Kremla zawyrokowali, iż akt tej sprzedaży był bezprawny. Niedawno radio moskiewskie sprawę tę znowu poruszyło i znowu zakwestionowało prawomocność tej tranzakcji. Z okazji tych wystąpień radia moskiewskiego prasa amerykańska przypomniała, iż w czasie wojny lotnicy sowieccy, którzy przyjeżdżali na Alaskę w rozmaitych misjach, bardzo często w rozmowach prywatnych wyrażali przekonanie, iż akt sprzedaży tego kraju, dokonany przez cara, był bezprawiem.

Nie też dziwnego, iż ujawnienie tych rosyjskich, chociażby na razie tylko dla celów gry dyplomatycznej podnoszonych pretensji do części terytorium amerykańskiego zmusiło amerykańskie koła wojskowe do wszczęcia energicznych kroków w celu zabezpieczenia się przed rosyjską napastliwością. Dnia 6 listopada 1946 r. wystąpił z oficjalnym programem w tej sprawie Truman, a dnia 2 stycznia br. Morska Komisja Kongresu przyjęła raport ustalający ogólne zasady amerykańskiej polityki w sprawie baz.

Amerykańska stanowczość, szeroki zasięg planowanych przez Amerykanów baz wywołały żywe przeciwdziałanie ze strony Moskwy.

Dnia 13 września 1946 r., rosyjski historyk E. Tarle zaatakował admirała Halesey'a za jego znane powiedzenie, iż okręty amerykańskie muszą mieć prawo „pływać tam, gdzie im się zechce".

Gruntownej analizie poddał politykę amerykańską rosyjski kontradmirał E. Szwede na łamach „Prawdy" (12 września 1946 r.). W artykule zatytułowanym: „Wojenno-morska ekspansja St. Zjednoczonych" Szwede wyprowadził oczywiście ze swych rozważań wniosek, iż „usiłowanie Stanów Zjednoczonych zmierzające do zorganizowania baz w całym świecie, jest wyrazem stale wzmacniającej się w amerykańskiej polityce tendencji do zdobycia panowania nad światem".

Moskwa nie ograniczyła się jedynie do kontrakcji prasowo-polemicznej. Henry Wallace, atakując w liście do Trumana (23.II.46) politykę baz, zapewno mimo woli uległ inspiracjom rosyjskim. Gdy jednak ta dywersja od wewnątrz nie pomogła, wówczas Kreml wystąpił z żądaniem rewizji umowy w sprawie Spitsbergu w celu założenia tam swojej bazy wojskowej. Pod naciskiem też Moskwy rządy duński i islandzki zażądały rewizji umów ze Stanami Zjednoczonymi w sprawie baz na Islandii i Grenlandii.

Jak dotychczas, wszystkie te zabiegi rosyjskie nie wywołały zasadniczej zmiany w polityce amerykańskiej w tej dziedzinie, a wywody historyka Tarle i kontradmirała Szwedego spotkały się z bardzo bezpośrednio nas interesującą odpowiedzią na łamach styczniowego numeru **„Foreign Affairs"** (polityczny kwartalnik amerykański — styczeń 1947 r.), w artykule wybitnego specjalisty w dziedzinie geografii politycznej, H. W. Weigerta. Ujął on sedno całego zagadnienia w następujący sposób:

„Analizując strategiczne bazy Związku Sowieckiego popełniliśmy niebezpieczny błąd, ograniczając się do dyskusji o Kurylach, rosyjskich bazach w Finlandii lub w Kaliningradzie (dawny Königsberg Królewiec) albo szacując aktualne czy też możliwe rosyjskie żądania baz w Dardanelach, Erytrei i Trypolisie oraz na Spitsbergu. Dla uzupełnienia obrazu strategicznych baz Związku Sowieckiego musimy do nich włączyć Niemcy na wschód od granicy Odra-Nysa, jak również i północną Koreę. Musimy również włączyć cały pas pozostający w sowieckiej strefie wpływów zarówno w Europie, jak i w Azji. Niezrozumienie pełnego sensu „bazy strategicznej" wynika z całkowicie błędnej oceny względnej siły położenia Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego. Jeśli ktoś ograniczy pojęcie bazy do pojęcia podpadającego pod klasyfikację portów lub wysp i porówna tego rodzaju twierdze w posiadaniu St. Zjednoczonych z analogicznymi bazami, nad którymi powiewa flaga sowiecka, to może dojść do błędnego wniosku, iż Związek Sowiecki znacznie większą okazał powściągliwość w tworzeniu baz, aniżeli St. Zjednoczone... W rzeczywistości Związek Sowiecki znalazł obfite wyrównanie przez stworzenie baz w krajach bezpośrednio do niego przyległych, czy to dzięki wojskowej okupacji, czy też dzięki współpracy z przyjacielskimi rządami w strefie swoich interesów."

A zatem Polska z granicą na Odrze i Nysie jest całkiem wyraźnie oceniana przez Weigarta jako wojenna baza rosyjska tej samej kategorii, jaką ma być amerykańska baza np. na Okinawie.

Weigart zwraca uwagę, że „strategiczne granice" są jeszcze ciągle uważane za coś realnego, gdy w rzeczywistości w obecnej epoce jest to już nieaktualne i całe zagadnienie bezpieczeństwa powinno być rozwiązane zbiorowo.

Ostatnia propozycja amerykańska w sprawie baz (z dnia 2 stycznia) jest raczej umiarkowaną i czymś pośrednim między pełnym bezpieczeństwem zbiorowym i pełną polityką „strategicznych granic oraz morskich baz". Czy my rozszerzymy strefy, które uznamy za strategiczne — kończy swe wywody amerykański specjalista — czy też zamkniemy je dla odwiedzania i inspekcji, zależeć to będzie od rozwoju całości sytuacji międzynarodowej, szczególnie zaś od tego, czy okazane zostanie wzajemne zaufanie do instytucji Narodów Zjednoczonych ze strony sowieckiej".

Tego rodzaju wyjaśnienie Moskwie stanowiska Waszyngtonu i zwrócenie uwagi na kompromisowy charakter formalnych żądań amerykańskich budzi zasadnicze podejrzenie, że ceną uznania tego kompromisu może być między innymi i polska granica na Odrze i Nysie. Przy naszym położeniu geograficznym i przy dzisiejszym skurczeniu się świata, nawet tak odległe zdawałoby się sprawy, jak bazy na Pacyfiku, mogą zaważyć na losach naszego kraju.

St.Sta.

WYBORY W POLSCE

Urna wyborcza to dziwna szkatułka!
Wchodzi Mikołajczyk, wychodzi Gomułka.

napisał TADEUSZ BORN

Żołnierskie kłopoty

Wydawałoby się, że nie jest rzeczą trudną pisać na temat żołnierskich kłopotów, siedząc w osławionej już „beczce śmiechu", lekko przeciekającej z góry i mocno z dołu, pełnej pyłu węglowego i koksowego, a jednak zimnej, gdy deszcz pada bez przerwy, gdy głowa już pęka od ciągłych rozmów „co będzie dalej", ze szczegółowym omówieniem, i to wielokrotnym, każdego szczegółu tej ew. przyszłości, gdyż niepokój o nie otrzymany list z Kraju wzmaga się w postępie geometrycznym z dnia na dzień itd. itd.

Opisanie tego wszystkiego, w czym się żyje, czego się człowiek codziennie dotyka i o czym się najwięcej mówi — na pewno nie sprawiłoby specjalnej trudności każdemu umiejącemu jako tako obserwować i wyrazić to na piśmie. Sądząc jednak z zewnętrznych przejawów mogłoby się wydawać, że te kłopoty żołnierskie są ograniczone do zainteresowań jednostkowych. W rzeczywistości jest jednak inaczej. Nie te kłopoty, o których mówi się najwięcej, bo się najbardziej rzucają w oczy i najłatwiejsze są do sformułowania, nie one są najistotniejsze — lecz inne bardziej nieuchwytne i często nawet nieuświadomione, ale jednak tkwiące u podstawy wszystkiego. Z rozległości ich i doniosłości powierzchowny obserwator nie zawsze zdaje sobie sprawę. Spróbuję kilka z nich omówić.

Będę je omawiał w porządku chronologicznym, tak jak one narastały w każdym z nas oddzielnie i w gromadach w miarę przedłużającego się pobytu na terenie W. Brytanii. A więc pierwszeństwo kolejności nie świadczy o ważności „kłopotów". Raczej odwrotnie, zaczynało się bowiem od spraw dokuczliwych, ale w gruncie rzeczy mniej ważnych, a dopiero w miarę upływu czasu wyłaniały się i wyłaniają zagadnienia coraz poważniejsze.

A zaczęło się, pomijając już kwestie klimatyczno - mieszkaniowe, od ... komunikacji, prania, punktów, kartek żywnościowych itp. Włoska łatwizna życia, do której chcąc nie chcąc, przyzwyczailiśmy się, musiała ustąpić miejsca trudnym warunkom życiowym brytyjskim. Nie obyło się to oczywiście bez przełamywań wewnętrznych, bez narzekań, bez rozżaleń i słodkich wspomnień o słonecznej Italii. Ale, właściwie to nie w tych codziennych kłopotach tkwiło sedno sprawy, lecz znacznie głębiej. To, co nazwałem włoską łatwizną życia, wcisnęło się w nas, w nasze myśli, uczucia, poglądy, sposób załatwiania spraw, w naszą postawę wobec najistotniejszych nieraz zagadnień, bardzo głęboko, może u niektórych jednostek za głęboko. Wielu z nas nie tylko patrzyło i patrzy na sprawy w W. Brytanii z tego właśnie punktu widzenia (porównania z Italią) i według tych kryteriów ocenia teraźniejszość, ale co gorsza stosowało i stosuje te kategorie włoskie rzucając swe myśli i zamierzenia w przyszłość. Żołnierz, przyzwyczajony do tego, że miał utrzymanie, pieniądze, mieszkanie, ubranie, łatwość poruszania się na przestrzeni całej Italii, nie umiał i wielu do dzisiejszego dnia nie umie patrzyć w przyszłość, w której tego wszystkiego nie będzie, jeśli się na to nie zapracuje. Ileż to razy słyszało się słowa zazdrości, że oto ktoś zarabia 20 funtów miesięcznie. Zazdroszczący podstawiał myślowo te wymarzone 20 funtów w miejsce swego skromnego żołdu i czuł się już bogaczem, zapominając, że z tej właśnie sumy trzeba pokryć wszystko, dosłownie wszystko. Że trzeba będzie mocno ścisnąć pasa, że trzeba będzie wielu rzeczy się wyrzec — to na myśl mu nie przychodziło. Wynikały i wynikają jeszcze stąd różne nieprzewidziane zawikłania. Jedni, decydując się na pracę, gdy spostrzegą po pewnym czasie, że życie jest ciężkie, wycofują się z niej czym prędzej do obozów, inni — nauczeni doświadczeniem kolegów, marzą, że gdzieindziej, poza morzem znajdą lepsze warunki. Rozstrzygają nie według miary swych możliwości, lecz według miary swych zachceń — opartych na wspomnieniach włoskich. Rozstrzygnięcia, dotyczące przyszłości, łączą się u wielu ludzi z obawą deklaracji. Dotyczy to wszystkich, w jednakowym stopniu grup zawodowych. Rolnik, właściciel mniejszego czy większego gospodarstwa, nie chce pracować na roli jako robotnik rolny. Fachowiec taki czy inny z niechęcią myśli o przerzuceniu się do innego fachu lub objęciu niższego stanowiska. Inteligent nie widzi dla siebie możliwości pracy.

Przełamywanie w samym sobie wygodnictwa życiowego postępuje jednak naprzód i dzisiaj, kłopoty tego rodzaju wykazują raczej tendencję zmniejszania się.

Wyłaniają się natomiast nowe. Oto żołnierz zaczyna już powoli szerzej patrzeć na otaczające go społeczeństwo: polskie cywilne przebywające już od dłuższego czasu na terenie W. Brytanii i brytyjskie.

Żołnierz przyjeżdżał z własnym bagażem ideowym, myślowym i uczuciowym, stanowiącym zresztą dość dziwną, na pierwszy rzut oka, mieszaninę: wysokiego, ponadpartyjnego nastawienia patriotycznego i głębokiej świadomości ważność własnego dorobku wojskowego i społecznego, a obok tęsknoty do życia cywilnego. Przyjeżdżał z przekonaniem, że zetknie się tu, w życiu codziennym z tym, co dla niego tam, w dalekiej Italii, było do pewnego stopnia mitem, czymś nierzeczywistym, samą nazwą, pojęciem, symbolem. Spodziewał się, że dorobek 2 Korpusu zostanie oceniony tak, jak go on sam oceniał, jechał nastawiony na względnie szybkie porozumienie się z miejscowym polskim społeczeństwem cywilnym. Szukał tego w powitaniach, odezwach, rozmowach, pogadankach, decyzjach. Rzeczywistość zaczęła się jednak kształtować trochę inaczej. Nie można było co prawda narzekać na brak serdeczności, która biła z każdego słowa mówionego czy drukowanego, ale nie widziało się zrozumienia dla naszego dotychczasowego stanowiska. Byli ludzie chętni do rozmawiania z każdym osobno, ale nie chcieli mieć do czynienia z nami jako jednolitą całością, przedstawiającą pewne wartości właśnie jako grupa. „Drugi Korpus się skończył" — słyszało się głośno lub cicho wypowiadaną opinię. Prelegentów, chętnych na przyjazdy było bardzo wielu. Dwadzieścia kilka organizacyj chciało działać w tym samym kierunku jednocześnie, nie licząc poszczególnych ochotników, a każdy chciał ... nauczać, prostować nasze „błędne ścieżki" dotychczasowych poglądów w sprawach zasadniczych.

Żołnierz się dziwił, złościł, często wzruszał ramionami. W umyśle nie jednego powstały wątpliwości, czy aby istotnie mieliśmy słuszność, w umysłach innych dorobek Korpusu, na każdym polu, zaczął się jakoś dziwnie zmniejszać. Ale zjawisko to przechodzi powoli. Niemniej jednak pozostała w duszy i umyśle rozterka: czy naprawdę mówimy różnymi językami?

Po przyjeździe do W. Brytanii jednym z pierwszych pytań każdego z nas było: „a co Rząd nasz? gdzie jest? co robi? co mówi o nas?" Rząd tymczasem przez długi okres milczał, a jak głosiły zakulisowe plotki, przez kilka tygodni „przygotowywał" czy też „uzgadniał" odezwę powitalną. Miejscowi, zasiedziali w W. Brytanii od paru lat Polacy, na te zadawane im pytania dość cynicznie wzruszali ramionami i w najlepszym razie milczeli.

A przecież ten żołnierz jechał, jeśli można użyć tego wyrażenia, stęskniony do Rządu. Najwyższe nasze władze państwowe nie przestały być dla nas nigdy ośrodkiem, z którym czuliśmy się mocno związani. Stawiając wysoko nasze Naczelne Władze na piedestale chcieliśmy jednak widzieć w nich siłę czynną, równie czynną jaką była zwarta i zorganizowana masa żołnierska.

Znalazłszy się na terenie W. Brytanii żołnierz pytał, obserwował i czekał: i czeka w dalszym ciągu, z rosnącą jednak rozterką i pytaniem: czego to jest objawem? czy tylko przeszkód zewnętrznych czy też i innych, głębszych.

Z tych rozczarowań płynie poczucie osamotnienia. Nie wiadomo czego chce „góra" — trzeba więc działać na własną rękę.

Poczucie osamotnienia wzmaga się w tych wypadkach, gdzie dowódca nie stanął na wysokości zadania i nie chciał czy nie umiał być dla żołnierza równie dobrym opiekunem, doradcą czy przykładem jak był dobrym dowódcą w boju. Powiedzmy to jasno i wyraźnie, że nie wszyscy dowódcy umieli się odpowiednio znaleźć w nowej dla nas wszystkich sytuacji. Jest to prawda bolesna, lecz na szczęście nie powszechna. Stąd między innymi bierze swój początek, zupełnie zrozumiały w tych warunkach, t.zw. przesilenie zaufania. W związku z tym występuje zjawisko wyzwalania się przeróżnych niechęci i ukrywanych żalów. Nie jest to w istocie ani tak powszechnym, ani tak głębokim faktem, jakby to niektórzy chcieli widzieć i jak według swych „pobożnych życzeń" głoszą, niemniej jednak jest.

Na tym tle ogólnym rodzi się największa i najbardziej ważka troska żołnierska: czy położenie nasze, obecne i w przyszłości, daje nam jakąkolwiek możność pracy niepodległościowej? Czy będziemy w możności, biorąc pod uwagę warunki zewnętrzne i nasz stan wewnętrzny, urzeczywistniać cel, dla którego zostaliśmy świadomie na obczyźnie? Wśród tych, na szczęście nielicznych, którzy skłonni są odpowiedzieć na powyższe pytania przecząco, rodzą się nieraz desperackie zamiary i decyzje. Wśród olbrzymiej masy jest obecnie stan wyczekiwania. Żołnierz instynktownie czuje, że ta możność pracy istnieje. Jest na nią psychicznie nastawiony. Czeka tylko uchwytnych wyjaśnień i wskazówek.

Ogłoszenia

UNIVERSITY ENTRANCE EXAMINATION
English Tutor prepares privately or by Correspondence. Write: Tutor, 64 Finchley Court, London, N. 3.

EDYNBURG
KSIĘGARNIA POLSKA
„CO SŁYCHAĆ"
2, Drumsheugh Place, Tel.: 21712
(obok kościoła polskiego)
Posiada na składzie wielki wybór:
Podręczników i słowników do nauki angielskiego i innych języków
Podręczników szkolnych i technicznych,
Książek beletrystycznych w języku polskim i angielskim.
Kalendarzyki kieszonkowe i ścienne.
Baretki orderowe odznaki i dystynkcje wojskowe. Materiały piśmienne.
Na żądanie katalogi i cenniki
Zamówienia pisemne załatwiamy natychmiast

NOTATKI

Z chłopa książe

Ktoś z moich znajomych opowiadał mi niedawno, że ma pewne trudności w wyjaśnianiu niektórym swym angielskim przyjaciołom, że nie jest bynajmniej polskim księciem, oczekującym pod przybranym nazwiskiem na zwrot odebranych mu olbrzymich dóbr ziemskich. Był on tym bardziej zakłopotany, że właśnie szczyci się swym ludowym pochodzeniem i jest zresztą jednym z najwybitniejszych pisarzy „chłopskich" młodego pokolenia.

Widać stąd, że w społeczeństwie angielskim błąkają się jeszcze jakieś o nas wyobrażenia, które z rzeczywistością nie mają nic wspólnego. Jest ich coraz mniej. Ale czasami pojawiają się nawet na łamach prasy. Są pisma, które najwidoczniej mają bardzo złych reporterów i dlatego zdarza się im wypowiadać na nasz temat opinie, które wywołały wybuchy śmiechu — w innych okolicznościach.

O Polsce i o Polakach pisze się teraz w prasie brytyjskiej dużo i coraz mniej już tych dawnych bałamuctw o „reakcji" itp. podsuwanych sprytnie przez pewnych, a raczej niepewnych „informatorów". Mylnie, choć często w dobrej wierze wypowiadane opinie, są w wielu wypadkach natychmiast prostowane w przesyłanych przez angielskich czytelników listach do redakcji. Oto parę przykładów z ostatnich dni:

Port Radium, nowa osada w Półn. Kanadzie nad jeziorem W. Niedźwiedzia, gdzie znaleziono pokłady rudy uranowej („Le Patriote Illustré")

Hitler, Jagoda i Jeżow

List do redakcji tygodnika „The New Statesman and Nation":

„Panie, — w toku swego informacyjnego sprawozdania na temat sytuacji wyborczej w Polsce Miss Warriner mówi nam — a to co ona mówi jest znaczące, gdyż jest ona najwidoczniej dobrze ustosunkowaną do rządu tymczasowego — że Mikołajczyk... gdyby wszelkie rządowe naciski zostały usunięte, uzyskałby większość". Wydaje się, że dobry ma ona sąd o sposobach, którymi mniejszość wzmocniła swe panowanie nad polskim społeczeństwem, dla dwóch powodów: że polityka gospodarcza rządu jest zręcznie zaprojektowana, i że każdy inny wynik wywołałby sowiecką interwencję.

„Nie chodzi mi o odparcie argumentów Miss Warren, ani nawet o wyrażenie sprzeciwu w odniesieniu do nich; sądzę jednak, że powinniśmy jasno zdawać sobie sprawę z ich sensu. Nie kładę nacisku na prawa do naszej wdzięczności, jakich mogliby się domagać ci, którzy się teraz nazywają romantykami i reakcjonistami. (Ostatecznie jakież to jest romantyczne, prowadzić dalej walkę przeciw Gestapo po rozbiorze 1939 r., jak niepoprawnie romantycznie walczyć dalej we Włoszech i Holandii — po Jałcie). Rzecz w tym, że ci, co wychwalają rząd warszawski, nie zadowalają się żądaniem od nas zgody na rozwiązanie polityczne, oparte o przeważającą siłę Zw. Sowieckiego; żądają oni od nas, abyśmy **podziwiali** ten wynik i zmusili nasz rząd, aby nie czynił niczego, co mogłoby narazić na szwank jak najszybsze utrwalenie władzy p. Bieruta i towarzyszy. Niech będzie. Ale pamiętajmy, że straciliśmy wszelkie prawo, jakie moglibyśmy mieć do moralnego oburzenia, jeśli chodzi o Hiszpanię, Grecję, lub stanu Georgia w USA.

„Nie mogę uwierzyć w to, aby najbardziej demokratyczni socjaliści chcieli pogrążyć się w tego rodzaju moralnym nihiliźmie. Nawet taki „reakcyjny romantyk" jak gen. Anders zamieszkuje ten sam świat moralny co brytyjski ruch Pracy w przeszłości. Ale owe ciemne osobistości, które teraz opanowały rząd warszawski i które teraz prześladują bezlitośnie tych, co walczyli przeciw nazistom, gdy ich prześladowcy zachowywali w Moskwie wstydliwe milczenie — cóż to są za ludzie? Z pewnością należą oni do świata Himmlera, Jagody i Jeżowa. Musimy może ich ścierpieć. Ale czy musimy ich podziwiać?"

8 Ellercroft Avenue **J. M. Cameron**

„Wybory"

List do redakcji tyg. „The Spectator":

„Panie, — słusznie Pan stwierdza, że niedawne wybory w Polsce były farsą. Ale czy ściśle jest twierdzenie, że dawniejsze wybory polskie były przeprowadzane w ten sam sposób? Myślę, że wnioski nasze co do przedwojennych warunków w Polsce budujemy w dużym stopniu na błędnych informacjach. Zapewne było wiele niemiłych rzeczy pod rządami Piłsudskiego i jego „pułkowników". Ale w tym samym czasie nigdy nie usiłował on wprowadzić w Polsce pełnej totalitarnej dyktatury — po pierwsze dlatego, że było to przeciwne jego przekonaniom, po drugie dlatego, że on znał aż nadto dobrze indywidualistyczny i przywiązany do wolności charakter swych rodaków. Jego reżym miał więcej cech demokratycznych i liberalnych aniżeli jakikolwiek ze współczesnych rządów autorytatywnych w Europie — a po jego śmierci kraj pod naciskiem opinii publicznej zmierzał stopniowo do odbudowy prawdziwie demokratycznego ustroju.

„Ordynacja wyborcza z 1935 roku była surowo krytykowana nawet przez dużą ilość zwolenników rządu, a wybory samorządowe w r. 1938 odbyły się zgodnie ze zdrowymi zasadami demokratycznymi. Wynikiem była porażka rządu, a zwycięstwo stronnictw opozycyjnych. Czy coś podobnego byłoby możliwe pod rządami obecnej dyktatury komunistycznej? Francuskie powiedzenie: „Comparaison n'est pas raison", może być zastosowane w tym wypadku. — Z poważaniem

111 Cadagan Gardens **J. S. Williams**
London S. W. 3.

„Lewica" i „Prawica"

Ten sam autor pisze w liście do redakcji „The Economist":

„Nie sądzę, aby można było mówić o jakimkolwiek podobieństwie między opuszczeniem przez nas naszych dawnych rosyjskich przyjaciół na korzyść nowych bolszewickich rządców tego kraju, a naszym stosunkiem do Polaków, którzy walczyli po naszej stronie przez cały czas trwania ostatniej wojny. Rewolucja rosyjska była wewnętrzną sprawą rosyjskiego narodu; ustrój komunistyczny został tam wprowadzony bez żadnej pomocy z zewnątrz, a nawet do pewnego stopnia wbrew zagranicznej interwencji.

„Z drugiej strony to, co stało się w Polsce, nie było zmianą jej systemu politycznego i społecznego, wprowadzoną przez proces prawdziwie rodzimy, ale narzuceniem siłą krajowi systemu obcego w przeciwieństwie do woli przeważającej większości narodu polskiego. Zagadnienie polega więc nie na reformach społecznych, jak się to czasami mówi, ale na wolności narodu zagrożonego z zewnątrz.

„Podobnie nie wydaje się rzetelne nazywanie komunistów oraz ich kukieł polską „lewicą" — podczas gdy jednocześnie prawdziwe polskie stronnictwo, tworzące kręgosłup polskiego narodu, nazywa się „prawicą". Ta rzekoma prawica zawiera w sobie elementy czasami bardziej radykalne społecznie i bardzie „lewicowe", aniżeli wielu socjalistycznych przywódców na Zachodzie. To co ich dzieli od komunistów, to ich wola zachowania swobód demokratycznych i opierania się totalitaryzmowi we wszelkiej postaci.

„Twierdzić, że jedyną alternatywą rządów komunistycznych w Polsce jest dyktatura skrajnej prawicy, to znaczy przesłaniać rzeczywiste zagadnienie, o które w Polsce chodzi — a polegające na tym, czy naród polski będzie wolny w kształtowaniu własnych losów."

„Proroctwa"

List do redakcji „Time and Tide":

„Panie, — Rozważając zagadnienie Polski — „klucza skupienia europejskiego" — jak go nazwał Napoleon — uciekliśmy się do pewnej sztuczki. Zdecydowani na to aby być postępowymi, zwróciliśmy się w sposób naturalny do **Sortes Marxianae.**

„Nie chodzi o to tylko, by odbudować Polskę dla zachowania pozorów, niepodległą na papierze.. Polska powinna mieć terytorium conajmniej tak wielkie, jakie posiadała w roku 1772" (Die Neu Rheinische Zeitung, 1878).

Engels, ku naszemu przerażeniu, wystąpił równie ostro przeciwko linii Curzona: „Odbudowanie Polski oznacza odbudowanie państwa, w którego skład wejdą conajmniej cztery różne narodowości" (manifest polski z czerwca 1874, Volksstaat, 1874).

„Castlereagh, ten stary reakcjonista, był w tym samym obozie: „Gdyby zamiast odbudowy (Polski) zupełnej i europejskiej, stworzono królestwo fałszywe i niezupełnie nazwane Polską... Gdy w rzeczywistości należałoby ono do Rosji, byłoby to tylko złudzenie". (Thiers „Histoire du Consulat et de l'Empire").

„W rozpaczy wróciliśmy się do tradycyjnych klerykalno-faszystowskich, **Sortes Virgilianae.** Poglądy Wirgiliusza na wybory z ubiegłej niedzieli, jakkolwiek przykre, były takie, jakich można było oczekiwać.

Vota metu duplicant matres, propiusque pericolo.
In timor, et marior Martis iam apparet imago.

„Czyż nie jest najwyższy czas zawezwać p. Zilliacusa do wzmocnienia linii partyjnej po tamtej stronie Styksu!"

Z poważaniem
T. Charles Edwards T. T. Morrison
Ampleforth, Yorks.

Zapytanie

List do redakcji „Times'a":

„Panie — P. Zilliacus mówi nam, że „cała Europa staje się socjal-demokratyczną, choć demokracja polityczna rozwija się powolniej w krajach, gdzie nigdy nie istniała". Wyrażenie „rozwija się" doprasza się o zapytanie. Czy komuniści żywią nadzieję, iż jednopartyjne państwo wschodnie rozwinie się w państwo jednopartyjne? P. Edward Ochab, wybitny polski komunista, jest zupełnie przeciwnego zdania aniżeli p. Zilliacus. W oficjalnym [illegible] Centralnego Komitetu Polskiej Partii komunistycznej z 1 listopada 1945, pisał on:

„Znaczenie „demokracji ludowej" polega na tym, że stwarza ona możliwość przejścia do „demokracji proletariackiej" bezboleśnie i względnie szybko. „Demokracja ludowa" jest stanem pośrednim, który z pewnością nie przetrwa całej epoki historycznej".

Z poważaniem
Christopher Hallis
Izba Gmin 25 stycznia

W Izbie Lordów

Z przemówienia Lorda Vansittarta:

„Czas już abyśmy przyjrzeli się słowu oswobodzenie, obłuskali je ze skorupy żargonu. Prawdą jest, że Europa Zachodnia została oswobodzona dzięki wysiłkom mocarstw zachodnich, ale w Europie wschodniej zmuszeni jesteśmy przyjąć, że oswobodzenie oznaczało dotychczas to, że jeszcze 120.000.000 ludzi straciło większość swych swobód. Byłoby nierozsądne przypuszczać, że zgodzimy się chętnie na rozszerzenie obszaru rozczarowań." (oklaski).

Pierwszy nr „Kroniki"

Z przeszło miesięcznym opóźnieniem dotarł do naszych rąk pierwszy numer wydawanego w Frankfurcie nad Menem tygodnika „Kronika", który ukazał się dnia 21 grudnia 1941 r. Pismo to wydawane w strefie amerykańskiej ma na celu dostarczenie licznym rzeszom Polaków w Niemczech informacji i lektury w języku rodzimym, których brak odczuwany jest tam wciąż bardzo dotkliwie.

O trudnościach istniejących w pracy w tym zakresie świadczy artykuł redakcyjny pt. „Wolność słowa" umieszczony na pierwszej stronie pisma, a wysuwający zdawałoby się oczywiste żądanie i prawo ludności polskiej na obczyźnie do posiadania własnej, niezależnej prasy i możności swobodnego wypowiadania się. Jak daleko zaś idą ograniczenia w tym względzie, o tym wyraźnie mówi „Apel do władz amerykańskich" ogłoszony również we wspomnianym numerze „Kroniki", a występujący przeciwko odebraniu Polakom w Niemczech prawa korespondowania przez pocztę w języku ojczystym z Polską i innymi krajami. Apel ten przytaczamy poniżej w całości:

„Od kilku tygodni listy pisane w języku polskim z Niemiec do Polski i do innych krajów poza granice Niemiec, zwracane są przez cenzurę z uwagą, że język polski jest w korespondencji pocztowej niedopuszczony. Sprawa ta dotyczy wielu dziesiątek tysięcy Polaków przebywających w Niemczech i posiada zasadnicze znaczenie.

„Polacy w Niemczech, w czasie wojny przebywający tu jako przymusowi robotnicy lub jeńcy wojenni mieli prawo korespondować w języku polskim, a tylko więźniowie hitlerowskich obozów koncentracyjnych prawa tego byli pozbawieni. Jest rzeczą trudną do zrozumienia i wytłumaczenia, dlaczego obecnie, po wojnie i po wyzwoleniu, ci sami Polacy należący do jednego z narodów zjednoczonych mają pisać do swoich rodzin w Polsce i w innych krajach w językach obcych, których często po prostu nie znają. Mamy wrażenie, że zarządzenie zakazujące języka polskiego w korespondencji albo polega na jakimś nieporozumieniu, albo też mamy do czynienia ze zwyczajnym nadużyciem ze strony urzędników cenzury, wśród których znajduje się wielu Niemców.

„Zwracając na tę sprawę uwagę podkreślamy, że wywołuje ona bardzo ujemne wrażenie wśród ogółu społeczeństwa polskiego w Niemczech. Jako fakt odznaczający się szczególną niesprawiedliwością, posiadającą nawet cechy szykany. Zwracamy się dlatego do miarodajnych czynników i władz amerykańskich, znając ich z życzliwego stosunku do spraw polskich, aby zechciały bezzwłocznie zbadać powyższą sprawę i wydać odpowiednie zarządzenia, które położą kres sytuacji godzącej nie tylko w interes ludności polskiej w Niemczech, ale i naruszającej jej uzasadnione prawo do wolności używania jej ojczystego języka w korespondencji pocztowej."

Atomowe troski rosyjskich pisarzy

Bezbarwnie, szablonowo i monotonnie redagowana prasa sowiecka nabiera niezwykłych rumieńców żywości, gdy zaczyna omawiać tak dziś popularne tematy atomowe. Na ogół zręcznie przez sowieckich dyplomatów ukrywane zdenerwowanie, przejawiające się w Moskwie od czasu wybuchu nad Hiroszimą, występuje nieopanowanie na łamach wszystkich rosyjskich czasopism. Nawet niezasługujące na poważniejsze traktowanie broszury, czy też artykuły, których tak wiele — obok poważniejszych publikacji — pojawia się na rynku księgarskim w Stanach Zjednoczonych i Zachodniej Europie, są ze szczególną uwagą w Moskwie studiowane i niejednokrotnie powodują wybuchy wściekłości.

Takim przykładem sowieckiego „niepokoju atomowego" jest artykuł p. Zasławskiego pt. „Polityka Czerwonego Waleta", wydrukowany na łamach „Prawdy" w dniu 20 grudnia ub. r.

Wszystkim brydżystom na Zachodzie znane jest nazwisko Amerykanina Culbertsona, redaktora „Światowego czasopisma brydżowego", oraz twórcy tzw. „systemu Culbertsona" w brydżu. P. Culbertson, zapewne w chwilach wolnych od swojej zawodowej pracy, napisał broszurę pt. „Czy powinniśmy wojować z Rosją?" W broszurce tej teoretyk brydża rozpatruje sytuację międzynarodową z punktu widzenia zasad jego ulubionej gry w karty i dochodzi ostatecznie do wniosku, że Stany Zjednoczone powinny wojować z Rosją. Albowiem w wielkiej światowej grze politycznej „dokupiły" one „atomowego asa" i wskutek tego mają w swoich rękach „wielkiego szlema". Ale w ciągu dziesięciu lat Związek Sowiecki gotów osiągnąć ten sam poziom narodowego gospodarstwa, jaki w tej chwili posiadają Stany Zjednoczone, w ciągu zaś dalszych pięciu lat stanie się on znacznie silniejszy od Ameryki. W tak zmienionej sytuacji oczywiście Stany Zjednoczone partię ostatecznie przegrają. Dlatego obecnie mając w ręku „wielkiego szlema" powinny Stany Zjednoczone go wygrać. Zdaniem wybitnego brydżysty wystarczy dwa tygodnie atomowej wojny, by Związek Sowiecki powalić na kolana. Culbertson w swoich brydżowo-politycznych pomysłach idzie tak daleko, iż nawet domaga się ustanowienia rządów silnych ludzi w Stanach Zjednoczonych.

Z tą broszurką rozprawia się na łamach „Prawdy" p. Zasławski używając nawet bardzo nieparlamentarnych określeń pod adresem autora. Culbertson to „podżegacz do napastniczej wojny", „faszysta", człowiek pozbawiony moralności, największy wróg Sowieckiego Związku, szuler, który nienawidzi Rosji nie tylko dlatego, że rodzina jego straciła w niej majątek, ale i z tego powodu, że wskutek braku w Związku Sowieckim domów gry, podobnie jak domów publicznych, „nie otrzymuje on z naszego państwa ani grosza dochodu..." „Swoboda gry w karty i swoboda politycznego szulerstwa — oto „demokracja" w ujęciu p. Culbertsona" — konkluduje z temperamentem p. Zasławski.

Równie wielką irytację jak w Zasławskim wywołały w redaktorze moskiewskiej „Literackiej Gazety", p. Lejtesie, oświadczenia i wywiady z przedstawicielami francuskiego świata literackiego, drukowane na łamach francuskiego tygodnika „Le Littéraire". Uczestnicy ankiety tego pisma wypowiadają się na tematy jaką będzie literatura wieku atomowego". P. Lejtesa szczególnie zirytował wywiad z przedstawicielami grupy tzw. „lettristów". Grupa ta jest zdania, iż swoim pojawieniem się otwiera ona nową epokę światowej literatury. Historia literatury dzielić się będzie na trzy epoki: pierwsza do czasu Wiktora Hugo — poezja rozwijająca wszelkie formy, ideje i tematy; drugi okres, zdaniem „lettristów", rozpoczął Baudelaire i od jego czasów poezja zajęta była „unicestwianiem" idei, form i tematów. "Lettriści" natomiast podobnie jak fizycy rozczepili na części jądro atomowe, rozczepią słowa na litery i rozrywać będą nawet jądra samych słów". „Czysta litera, niewinna, swobodna od wszystkich grzechów świata", stanie się tworzywem poezji „wieku atomowego".

Te wywody dekadenckiego zespołu posłużyły za pretekst do napaści na całą niemal amerykańską, angielską i francuską literaturę, specjalnie zaś poświęconą atomowej tematyce.

Oczywiście wniosek ostateczny tych wszystkich rozważań jest ten, że tylko Związek Sowiecki jest państwem miłującym pokój, i że tylko z sowieckiej literatury czerpią miliony ludzi na świecie wiarę w wielkość człowieka, i w przyszłość ludzkości i dopiero wtedy, gdy Związek Sowiecki zwycięży, „wspaniałe osiągnięcia nauki i techniki i nadzwyczajne moralne cechy zaszczepione w ludziach, będą wykorzystane dla dobra i szczęścia ludzkości".

Zapewne ta sama wiara w prawdziwość i szczerość tych końcowych frazesów sowieckiego publicysty z „Literackiej Gazety" nie pozwala p. Gromyce zgodzić się na międzynarodową kontrolę produkcji energii atomowej i otwarcie granic rosyjskich dla swobodnej międzynarodowej kontroli. A przecież w ten sposób można by od razu położyć kres całej „atomowej gorączce" i oszczędzić zdrowia i nerwów rosyjskim publicystom.

St. Sta.

RYSZARD WRAGA

Wzór syntezy

Nakładem „Świtpolu" ukazało się ostatnio parę cennych publikacji, godnych jak najstaranniejszego omówienia. Wśród nich — książeczka płk. dypl. Henryka Piątkowskiego o kampanii wrześniowej 1939 r.*) Jest to właściwie drugie wydanie pracy, ogłoszonej już w 1943 r. w Jerozolimie nakładem Sekcji Wyd. A. P. W. W'wczas już zwróciła ona uwagę czytelników swoją sumiennością, a przede wszystkim spokojem i rzetelną przedmiotowością. Niestety, zwróciła ona, o ile wiem, również uwagę i licznych wysoko, średnio — i nijako postawionych polityków, politykierów i polityko'anów, którzy uważali (a wielu z nich uważa dotychczas), że tragiczny dla nas w wyniku doraźnym temat można omawiać tylko z jednego punktu widzenia: potępienia i zohydzenia przeszłości oraz obniżania w czambuł znaczenia polskiego dorobku lat dwudziestu,

Zachęceni nieopatrznie wypowiedzianymi słowami, że „kampania wrześniowa nie dała żadnych doświadczeń innym narodom walczącym", pisarze i publicyści różnego (przeważnie niewielkiego) kalibru, różnego (przeważnie niepoczytalnego) temperamentu i różnej (przeważnie nienadzwyczajnej) moralności, wyżywali się w mniej lub więcej namiętnych publikacjach na ten temat. Nic dziwnego, że z literatury tej pozostało zaledwie parę pozycji, które utrzymują się na półkach bibliotecznych.

Prace Piątkowskiego (mam na myśli obok omawianej również wzorowo opracowane studium o bitwie pod Monte Cassino i doskonały skrót o polskim wkładzie wojennym) mają swój właściwy styl. Jest on, sądzę, wypadkową głębokiego przemyślenia tematu. Autor z rzadką u polskich autorów wojskowych konsekwencją przechodzi od analizy do syntezy. Synteza jego nigdy nie jest improwizacją. Autor, czuje się to wyraźnie, może rozwinąć każde zdanie w cały artykuł, a kto wie czy nawet nie w całą broszurę.

O ile mi wiadomo, Piątkowski należy do najmłodszego pokolenia polskich oficerów sztabowych, już tzw. „domowego, polskiego chowu". Nie jest on obciążony żadną doktryną zaborczą, jego myśl nie nosi na sobie zgubnych wpływów gwałtownie po pierwszej wojnie światowej zaskorupiałej i zesztywniałej doktryny francuskiej. Czytając ogłoszone prace Piątkowskiego myślałem nieraz, jak bliscy byliśmy sformułowania u nas własnej doktryny wojennej. Bo jest w tych pracach to, czego brak wojskowym autorom francuskim czy brytyjskim, co mają z nadwyżką autorowie rosyjscy, co wypaczają w przeroście ambicji militarystycznych autorowie niemieccy — poczucie rzeczywistości.

Piątkowski nie odwołuje się ani razu do Napoleona, Clausewitza czy innych bogów lub teoretyków wojny, lecz mimo to rozumowanie jego jest na wskroś dialektyczne: ocenia on operację czy bitwę w uchwytnych warunkach, nie robi żadnych poprawek — z przeproszeniem — historycznych, nie mówi, co by było, gdyby było inaczej.

Omawiana książeczka Piątkowskiego jest tak idealnym skrótem, że byłoby nonsensem streszczanie jej w artykule recenzyjnym. Taki skrót z natury rzeczy musi wywołać u każdego recenzenta uwagi krytyczne, lecz myślę, że w tym wypadku będą one dotyczyły nie tego, co zostało napisane, lecz tego co zostało pominięte. Mnie np. przy czytaniu rozdziału o doktrynach wojennych nasunęła się z punktu uwaga, że dobrze byłoby, gdyby autor nie był pominął tego wpływu, jaki na ostateczną teorię „Blitzkrieg'u" wywarło Rapallo, niemieckie eksperymentowanie na „sowieckim poligonie" (zwłaszcza jeżeli chodzi o lotnictwo bombardujące, lądowania spadochronowe i wielkie masy pancerne), jak w tej teorii przełamały się konflikty poglądów Świecina i Tuchaczewskiego na wojnę taranową i wojnę na wyczerpanie.

Myślę, że również warto był mocniej podkreślić, że „Blitzkrieg" będąc sam funkcją wojny totalnej musi z konieczności wynikać z ustroju totalnego. (Pretensje naszych domorosłych strategów odnośnie naszego systemu obronnego samego planu i przebiegu wojny w 1939 r. sprowadzają się zgrubsza do tego, że zarzucają oni, żeśmy nie zdobyli się na odpowiednik „Blitzkrieg'u", czyli na wojnę totalną również i po naszej stronie i nie zdają sobie sprawy, że takie żądanie jest równoznaczne ze stawianiem rządowi przedwrześniowemu zarzutu, że ustrój polski był niedostatecznie totalistyczny. (Nie jest rzeczą drugorzędną, że kampania wrześniowa spotkała się z najostrzejszą krytyką pisarzy i publicystów o wyraźnym obliczu i tendencjach faszystowskich, jak np. Ksawery Pruszyński, St. Strumpf-Wojtkiewicz, Kirchmayer, Horak i in.).

Stwierdzenie, że „Blitzkrieg" jest następstwem formy totalnej ustroju państwa i, że każda forma totalna jest z natury rzeczy napastnicza, miałoby poza tym swój posmak aktualny. Byłoby zbędne prowadzenie dzisiaj dyskusji nad tym, że ustrój ZSRR jest totalny w każdej dziedzinie ducha i materii, że militaryzm panuje nad jego ustrojem i gospodarką. Przeto i „Blitzkrieg" może być jedyną formą wojny, jaką ZSRR zastosuje w chwili, gdy przestaną być dla niego niezbędne pokojowe formy polityki.

Ale przepraszam za odchylenie podyktowane, jak czytelnik widzi, nałogiem i wracam do tematu.

Jeżeli w dalszym ciągu „szukać dziury w całym", to można by było zarzucić autorowi, że niedostatecznie uwypuklił **polityczne** dążenia nasze, by wojna z Niemcami nie była wojną dwustronną lecz stała się wojną koalicyjną.

Te starania były niezmienne w ciągu całego istnienia państwowości polskiej. Nabrały one specjalnego wyrazu w marcu 1933 r., gdy marszałek Piłsudski proponował Francji wojnę prewencyjną przeciwko usilnie odbudowującej swój potencjał wojenny Rzeszy.**) W wyniku ciągłych starań doszło do tzw. „protokołu Gamelin-Kasprzycki, zapewniającego Polsce ofensywę francuską w 15 dni po wypowiedzeniu wojny Niemcom. Całość umów gwarancyjnych, politycznych, gospodarczych i wojskowych Polski z Francją i Wielką Brytanią, była tego typu, że Naczelne Dowództwo polskie zmuszone było w ciągu pierwszych dwu tygodni traktować wojnę polsko-niemiecką pod względem strategiczno-wojskowym jako zamkniętą w sobie całość, tym niemniej miało wszelkie podstawy do uważania tejże wojny jako odcinka polityczno-strategicznego wojny koalicyjnej z Niemcami.

Charakter koalicyjny tej wojny mógł już nie obchodzić nawet dowódców naszych armii, mógł być bez znaczenia dla sztabów na wszystkich szczeblach, ale nie mógł nie odegrać decydującej roli w generalnej a zasadniczej koncepcji Naczelnego Wodza.

Pominięcie przez Piątkowskiego tego stanu rzeczy, jest, moim zdaniem, jedynym błędem w jego doskonale pod względem dialektycznym zbudowanej pracy. Błąd ten powoduje z niego w wyniku wadliwą formułę końcowego okresu wojny. Piątkowski pisze (str. 58): „Dnia 17.IX rano dochodzi wiadomość o przekroczeniu przez jednostki sowieckie na całej długości wschodniej granicy państwa. Zapada decyzja Naczelnego Wodza — po porozumieniu się z rządem i szefami misji wojskowych francuskiej i brytyjskiej — przekroczenia granicy węgierskiej i rumuńskiej, celem przeniesienia wojny na teren koalicji. Wojna prowadzona na terenie polskim, integralnej części koalicji, była przecież również wojną na „terenie koalicji".

Praca Piątkowskiego podaje beznamiętnie przebieg akcji wrześniowej, biorąc jako wyjście nasz zachodni plan operacyjny. „Blitzkrieg" uniemożliwił wykonanie tego planu. Rozmiary i charakter omawianej publikacji nie pozwoliły, oczywiście, autorowi na poruszenie całego szeregu tematów z tym związanych. W szczególności sprawy niezmiernie istotnej: „Blitzkrieg", w swej części technicznej i psychicznej, był do tego stopnia nowym zjawiskiem, że przed kampanią wrześniową nikt, nawet sami Niemcy, nie mieli jego wyraźnej wizji. W laboratoriach można wypracować nowe narzędzie śmierci, można je nawet wypróbować na poligonach, ale o tym, jakie naprawdę wyrządzi ono skutki w czasie wojny, dowiadujemy się dopiero wtedy, gdy zaczyna ono działać w realnych warunkach bojowych. Jest prawdą, że całość uderzenia niemieckiego wywarła u nas ogromny wstrząs psychiczny, zarówno na ludności cywilnej, jak na żołnierzu, jak na dowódcach. Trzeba było co najmniej paru tygodni, byśmy się do atmosfery „Blitzu" przyzwyczaili, by aparat wojenny odzyskał normalną zdolność myślenia i działania.

Piątkowski logicznie i konsekwentnie dzieli całość kampanii na dwie części: **kampanię kierowaną** (1 — 18. IX) i partyzantkę operacyjną (19 IX — 5 X). Spokojnie zestawione przez autora fakty przekonują, że **zamierzenia Naczelnego Dowództwa (powzięte z 8 na 9 IX) skupienia maximum sił w południowo-wschodniej części Polski w oparciu o komunikacje prowadzące przez Rumunię było nie tylko zamierzeniem realnym, lecz mogło dać również realne wyniki.**

---

*) Płk. dypl. Henryk Piątkowski — Kampania Wrześniowa w Polsce 1939 r." (z cyklu Polska Historia Drugiej Wojny Światowej. Tom I.). Wydawnictwo Światowego Związku Polaków z Zagranicy. Londyn 1946. Stron 84 i 5 szkiców.

) Fakt ten, po raz pierwszy bodaj w poważnej literaturze politycznej stwierdza, sowiecka „Historia Dyplomacji" (Tom III, str. 471). Czytamy w niej co następuje: „W marcu 1933 r. polski marszałek Piłsudski informował rząd francuski, że Niemcy naruszając Traktat Wersalski usilnie się zbroją marząc o odwecie. Marszałek proponował przeciwdziałanie temu niebezpieczeństwu — wyłącznie dyplomatyczne wystąpienia nie odniosą skutków wobec Berlina. Piłsudski oświadczał, że wojska polskie gotowe są w każdej chwili wystąpić przeciwko Niemcom, jeżeli Francja poprze Polskę w razie wojny polsko-niemieckiej. Francuska dyplomacja dała Piłsudskiemu odpowiedź odmowną". — Zadziwiająca bezstronność sowiecka w przedstawianiu tego faktu tłumaczy się b. prosto: **już na następnej stronie czytamy, że „propozycja wojny prewencyjnej przeciwko Niemcom była ze strony Piłsudskiego prowokacją w stosunku do Polaków zwolenników sojuszu z Francją. Przygotowując sojusz z Niemcami Piłsudski udowadniał przeciwnikom tego sojuszu, że na Francji polegać nie można". Ta bzdura miałaby jakiś przytomny sens, gdyby propozycje Piłsudskiego były bodaj przez szeptaną propagandę znane wówczas opinii polskiej. Fakt tych propozycyj był utrzymany w takiej tajemnicy, że nie wiedzieli o nim nawet czołowi dyplomaci polscy. Do wiadomości ogółu przedostał się on już po śmierci Marszałka i to przez dyplomację francuską. Warto również przeczytać, co pisze o lądowaniu oddziałów polskich na Westerplatte pod Gdańskiem (5 marca 1933) b. ambasador francuski w Berlinie François Poncet w swojej książce „Souvenirs d'une Ambassade à Berlin".

W obronie propagandy

napisał Zygmunt NAGÓRSKI Jr

W roku 1757 młodzieniec lat osiemnastu, nazwiskiem John Lind, otrzymał dyplom uniwersytetu edynburskiego. Z dyplomem tym spróbował szczęścia w Turcji w charakterze kapelana tamtejszej ambasady Jego Królewskiej Mości. Nie poszło mu tam wi docznie najlepiej, skoro po wielkich kłótniach z ambasadorem John Murrayem, kłótniach, przypisywanych przez historyków zbyt czułej przyjaźni Linda z małżonką ambasadora, młody człowiek zawędrował do Polski. Tam mieszkał u swego kuzyna Szybko też doszedł do zaszczytów i godności — na dworze królewskim uzyskuje godność radcy, zostaje wychowawcą królewskiego siostrzeńca i dowódcą nowokreowanej szkoły kadetów w Warszawie. Od tych dni los jego wiąże się już na stałe z losem Polski.

John Lind staje się głównym motorem poruszenia brytyjskiej opinii publicznej, skłonienia jej do protestu wobec pierwszego rozbioru Polski. W latach 1772 — 1776 w całej Europie artykuły, listy do pism, broszury i książki płynęły szerokim strumieniem w ręce czytelników. Tematem ich była Polska. Poza nimi stał prawie zawsze Lind, lub jego agenci. Jego rola, jako pierwszego w historii londyńskiego przedstawiciela polskiego ministerstwa informacji (zgodnie z wersją D.B. Horna), była ogromna. I według Benthama (Collected Works) był wtedy moment, w którym nadzieje interwencji brytyjskiej w sprawie polskiej były znaczne. Nadzieje te przypisuje się wyłącznie Lindowi. Udaremnił je Jerzy III, monarcha despotyczny, nie znoszący opinii plebsu.

Lind był wyjątkiem w literackim świecie brytyjskim. Nikt inny sprawy polskiej nie poruszał. Ale rozgrywając tę walkę samotnie, Lind osiągnął rezultaty ogromne. Jego książka „Letters on the present State of Poland", wydana w Londynie w roku 1773, powoduje szereg recenzji, poruszenie opinii, dyskusje. W książce tej autor jest bardziej anty-rosyjski i anty-pruski aniżeli pro-polski. Daje brytyjskiemu czytelnikowi argument prawny i historyczny przeciwko rozbiorowi Polski. Książka zostaje prawie natychmiast przetłumaczona na niemiecki, dochodzi do rąk Fryderyka II, wywołując szał złości.

Ten nasz dawny, zapomniany obrońca ten prototyp dzisiejszego działacza propagandowego w Anglii i Szkocji, przyszedł mi na myśl, gdy przeczytałem rozdział o propagandzie w świeżo wydanej nakładem Biblioteki Polskiej w Wielkiej Brytanii książeczce Karola Zbyszewskiego p.t. „Polacy w Anglii". Zbyszewski, znane jego przyjaciołom, nieznane dotychczas szerokiemu ogółowi, poglądy swoje na wartości propagandy i wpływanie na formowanie opinii publicznej — tym razem przelewa na papier.

Propaganda polska jest zła przede wszystkim dlatego, że jest jej za dużo — wykrzykuje z emfazą autor. Przecieram oczy. Zarzut istotnie oryginalny, swoisty, ciekawy i jakże bardzo różny od tego wszystkiego, co mówią inni Polacy, Anglicy, Szkoci, Amerykanie, Francuzi, Belgowie, Holendrzy i wszyscy inni złączeni wspólnym zainteresowaniem sprawą polską z powodów rodzinnych, społecznych, politycznych, literackich czy kuchennych! Może właśnie o to autorowi chodziło, by się odróżniać? Może powodem propagandowego rozdziału o nieistnieniu w ogóle służby informacyjnej [illegible] usiłowania kontrargumentacji...? Dociec trudno!

Jak bardzo zmartwiłby się Lind, życie poświęciwszy obronie sprawy naszej, jak zawstydziłby się Lord Rosebery — współpracownik Gladstona w jego gabinecie, premier brytyjski u schyłku ubiegłego stulecia, mówca z Bożej łaski — gdyby dowiedział się dzisiaj, w przeszło trzydzieści lat po mowie wygłoszonej do dziennikarzy w Londynie na temat wpływu prasy na formowanie się opinii publicznej, mowie w której powiedział, że prasa winna jest, iż publiczność staje się apatyczna wobec zachodzących wypadków, jako że dziennik zastępuje jej proces myślowy i wkłada do mózgu gotowe formułki, które czytelnik tylko przyjmuje — że przecież nie i lat racji! że przecież to bzdura, że tylko potęga wojska penetruje powierzchnię życia, zmienia je i formuje, że tamto inne to... czary średniowieczne, to magia dwudziestego stulecia, zwana propagandą!

Byliśmy ubodzy w latach niepodległości. Ubodzy tak bardzo, że nie stać nas było nie tylko na domy robotnicze, lecz nawet na ekipę dziennikarsko-prelegencką w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Nie stać nas było na to, by sprzedawać po cenie niżej kosztu wiadomości o sobie. Dlatego, gdy przyszła wojna, gdy weszliśmy na pierwsze stronice prasy, czytelnik tej prasy nie wiedział o nas nic, albo wiedział źle. Wiedział źle, bo o to starał się zarówno nasz sąsiad wschodni, jak i zachodni.

W mało i trudno pracującej wyobraźni angielskiej był kąt, a w tym kącie zamarzony rysunek chłopskiej chaty, z podłogą [illegible] czyli z klepiskiem; w chacie tej [illegible] właściciel, a raczej użytkownik — pies [illegible]. Naokoło roztaczały się piękne widoki bezmierzonych włości oraz zarysowywały się mury pałaców. W pałacach tych mieszkali panowie. Na panów tych pracował w swojej chacie i na polach je otaczających chłop. Nie bardzo było wiadomo, czy chłop ten stanowił również własność dziedzica, czy nie. Raczej skłaniano się do przypuszczenia że tak. Sam pan dziedzic był człowiekiem bogatym, jakkolwiek nie znał, co to radio, wanna czy lodówka, jadł mięso na surowo, ewe je zębami zaraz po obdarciu ze skóry zwitego zwierzęcia. Ubrany był w skóry odpowiednio przez chłopa przyszyte...

Inni, bardziej kulturalni czy może oczytani, bliżej znający słowiańskie plemię zwane Polakami, nie dopuszczali myśli już tak bardzo skrajnych, lecz za to widzieli obrazki inne, usłużnie podsunięte im przed oczy przez naszych troskliwych sąsiadów. Widzieli więc uroczystego delegata polskiego, stawiającego w Genewie wniosek o uznanie podboju Abisynii. Widzieli Becka, schylonego w ukłonie prywatnym na schodach Berchtesgaden, i ułana polskiego szarżującego na bezbronnych Czechów na Zaolziu. Nic więcej nie widzieli. Byliśmy bowiem za biedni na to, by pokazać im nasze prawdziwe oblicze. Byliśmy za biedni na to nawet, by wytłumaczyć im przyczyny takiej a nie innej polityki zagranicznej młodego państwa polskiego, wtłoczonego pomiędzy dwa kolosy.

Po katastrofie znaleźliśmy się tutaj. Oglądano nas w sposób szczególny, jak ogląda się okaz zwierzęcia ludzkiego, w futrze pstrokatym; spoglądano na nasze ręce, czy czasem nie zaczniemy drapać albo gryźć. Pytano czy mamy tramwaje, czy wiemy co to radio i czy podoba nam się Szkocja. Z czasem przestano to robić, gdy poznano nas i gdy okazało się, że jesteśmy ludźmi jak oni, myślimy jak oni i reagujemy jak oni. Czemuż nikt nam o was nie mówił dawniej — pytali tubylcy. Czemuż nie potrafiliście stworzyć sobie sieci informacyjnej o tej waszej dalekiej Polsce ,o której teraz takie opowiadacie cuda? Czemu zostawialiście wolne pole przeciwnikom, walczącym z wami bezkompromisowo?

Pytania te słyszał i słyszy każdy do dziś, gdy mówi, pisze i działa na ową zlekceważoną, wykpianą przez Zbyszewskiego opinię publiczną. Pytania te w tej chwili dotyczą naszego stosunku do Rosji. Dlaczego tak mało ludzi wie o tym? Czemu nie mówicie? Piszecie? Krzyczycie?

Za mało jeszcze napisano o polskim wysiłku zbrojnym. Za mało o dorobku dwudziestolecia. Dlatego atakują nas ignoranci, na ignorancji innych budujący swoje tezy i twierdzenia. Dlatego jesteśmy w defensywie, zamiast być w ofensywie. Ilu Anglików wie o tym, że Polska straciła w tej wojnie 13,6% ludności, wobec 3,5% strat rosyjskich? To w tej chwili nie zmieni sytuacji. Ale to jest grunt, podłoże na lata przyszłe. Propaganda to nie zmienianie faktów, jak pisze Zbyszewski, to wręcz przeciwnie — operowanie tylko faktami. To dawanie do rąk przyjaciela amunicji do dalszej walki, to uderzenie w przeciwnika pociskiem prawdy, pociskiem, który ma zachwiać jego własne przekonanie, albo też wytrącić mu z ręki jego broń wpływania na innych.

Służba informacyjno-prasowa ma zadania specjalne w państwach demokratycznych. Służba ta ma zaś zadania wyjątkowe w wypadku państwa małego, narażonego na ataki potężnych przeciwników. Polska nie zwycięży w polu armii sowieckich, tak samo jak nie zwycięży samotnie armii niemieckich. Jej istnienie zależy od układu politycznego, od ustosunkowania się wobec niej wielkich mocarstw. Rosja może sobie pozwolić na brak propagandy (chociaż działa przeciwnie, organizując i finansując towarzystwa przyjaźni radzieckiej na całym świecie), jako że ma właśnie owe 500 dywizji, o których wspomina Zbyszewski.

My zaś musimy różnicę ilości dywizji zastąpić mocno podbudowaną materiałem faktycznym, uświadomioną i zainteresowaną opinią Zachodu. Rozumując kategoriami Zbyszewskiego, Lind powinien był zarzucić swoje wysiłki od razu, albowiem przeciwko Polsce stała wówczas potęga prusko-rosyjsko-austriacka. A jednak on wytrwał. I rezultatem konkretnym jest to, że historyk brytyjski tego okresu wie o Polsce więcej, aniżeli jego kolega specjalizujący się w wieku XIV, czy też ten, który będzie specjalizował się w okresie niepodległości. To może zagrać na naszą korzyść w momencie niespodzianym i nieprzewidzianym przez nikogo z nas. Najmniej zaś przez autora owej niefortunnej broszury.

Przeżywamy w tej chwili moment, w którym opinia publiczna brytyjska sprawie polskiej poświęca wiele uwagi. Wybory, zatrudnienie polskich żołnierzy, stosunek Rosji do nas — to wszystko Brytyjczyków interesuje. W okresie ostatnich dwunastu miesięcy nastąpiło znaczne otrzeźwienie tej opinii w stosunku do Rosji, zrozumienie jednocześnie spraw polskich. Listy do pism, dyskusje na nasze tematy mają już dwa wyraźne obozy — przyjaciół, znających fakty i prawdziwy obraz dzisiejszej Polski, i wrogów, rekrutujących się ze środowisk komunistycznych lub propagandą komunistyczną przejętych. Ci pierwsi obraz Polski dzisiejszej mają od nas tak samo jak ma go poseł w parlamencie, czy kongresman w kongresie. Czyta on nasze opracowania, czyta nasze artykuły, dyskutuje z nami, formując sobie swój własny obraz zależnie od tego czy i jakie argumenty do przekonania mu trafią.

Znam tutaj redaktora poważnego kwartalnika Partii Pracy, który do roku zeszłego był bezwarunkowym kapitulantem wobec wszelkich żądań sowieckich. Obraz Polski w jego umyśle był obrazem chłopsko-magnackim. Od roku zaczął o tej Polsce czytać, dyskutować. Dzisiaj jest naszym zwolennikiem rozumnym, trzeźwym, a przez to niezmiernie wartościowym. Przekonania swego nie opiera na zachwycie nad polskimi walorami erotyczno-matrymonialnymi, jakby tego chciał Zbyszewski, lecz na zimnym, wyrozumowanym procesie myślowym, na końcu którego była konkluzja nam przychylna. Polskie talenty miłosne przyniosły nam znacznie więcej wrogów, niż przyjaciół. Natomiast pogadanki dla dzieci szkolnych o nędzy polskich dzieci dały w rezultacie setki paczek ubraniowych do tychże polskich dzieci wysłanych.

Lord Palmerston wygłosił w Izbie Gmin w dniu 1 marca 1848 mowę o rozbiorze Polski. Mowę tą zakończył słowami o zadaniach polityki brytyjskiej. Zadaniami tymi musi być służenie sprawiedliwości i prawdzie. Dowodząc, że interwencja brytyjska w sprawie polskiej spowodowałaby wojnę ze wszystkimi trzema zaborcami, Palmerston uznał jednak za właściwe przypomnienie obowiązków Anglii wszędzie tam, gdzie wolność jest zagrożona.

Czy — przyjmując jako fakt niewątpliwy niemożność interwencji brytyjskiej i siłę przytłaczającą wówczas Polskę — mielibyśmy się wobec tego powstrzymać od przypominania o tych świętych zasadach, wyznawanych wszakże przez wszystkich kolejnych ministrów spraw zagranicznych Imperium? Czy dzisiaj więcej niż kiedykolwiek ugruntowanie opinii grającej politycznie nie powinno być naszym celem? Czy wobec Jałty i Teheranu, wobec niewoli polskiej, dokonanej przy współudziale brytyjskim, nie należy naszej propagandy wzmocnić, uczynić wpływową, zdobyć dla niej poważanie i szacunek nawet u przeciwników?

Być może, że Zbyszewski ma rację pisząc, iż w potęgę propagandy wierzą tylko prostaki umysłowe. Niewątpliwie jednak w demokracjach zachodnich prostaki te liczą się tak samo, jak głowy wielkie, pióra znakomite i umysły różne od przeciętnych.

Najprawdopodobniej i Lind i Earl of Rosebery i ostatnio Williams, autor książki „Press, Parliament and the People", należą według autora broszury do tej kategorii. Bodaj by więc nasza propaganda do takich prostaków trafiała! Nie zastalibyśmy wtedy zachwaszczonego pola światowej opinii publicznej w roku 1940! Nie walczylibyśmy dzisiaj tak bardzo osamotnieni o prawa Polski do bytu niepodległego! Nie prostowalibyśmy pojęć koślawych, śmiesznych w swej naiwności i tragicznych w swych skutkach dla naszej sprawy. I nie potrzebowalibyśmy gros naszej energii obracać na walkę o to, co wydaje się oczywiste, słuszne, jasne. Pomimo czołgów, dywizji, siły i realizmów politycznych.

Z TEKI RYSOWNIKÓW

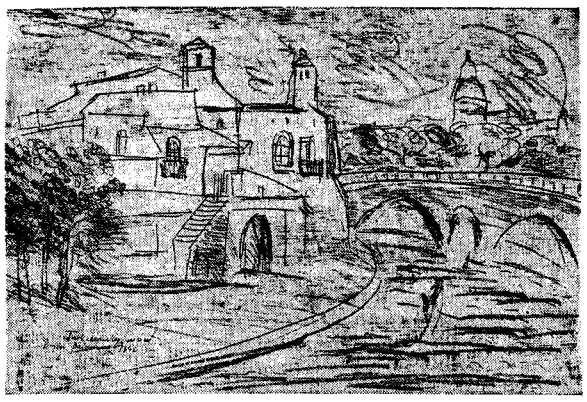

Zygmunt Turkiewicz — Most

BONNARD UMARŁ

Z powodu śmierci Piotra Bonnarda samo [illegible] bez nazwiska — [illegible] artykuł gruntowniejszy, bardziej godny wielkiego artysty.

Wielu z nas [illegible] jest traktowanie Bonnarda, a także Vuillarda, jako tzw. „małych mistrzów" w stosunku do uznanych wielkości Impresjonizmu, jak Monet, Monet czy Renoir, Pojęcia się od razu wstępny błąd: Bonnard nie jest impresjonistą, mimo impresjonistycznej „powierzchowności" (faktury) jego płócien. Nie jest także epigonem impresjonizmu. Jest jego heretykiem, podobnie jak Van Gogh, jak Cezanne, bez których impresjonizm pozostałby może tylko przewrotem technicznym malarstwa. Ale znaleźli się mądrzy odszczepieńcy i poprowadzili sztukę dalej.

Zaraz w początkach Bonnard rezygnuje z czystej linii impresjonizmu. Naturalnie bierze zeń cały skarb zdobyczy formalnych, a przede wszystkim wiedzę o kolorze. Poza tym bodzi się jego bezduszność, jego naśladowczego automatyzmu. Wtedy widzimy Bonnarda w słynnej grupie „les Nabis". Chodzi tam o organizację wrażeń w kompozycję. Na obrazie M. Denisa można oglądać w komplecie tych przeciwników impresjonizmu, szukających w malarstwie wartości intelektualnych: Redon, Vuillard, Meliorio, Denis, Sérusier, Redon, Vuillard, Meliorio, Denis, Sérusier, lub z daleka Gauguin, apostoł „rekoncentracji", teoretykiem jest Sérusier.

Ale to długo nie trwa, jożeli chodzi o Bonnarda. On pierwszy (a za nim Vuillard) odrywa się od cerebralnych i abstrakcyjnych zasad grupy. Niechęć do teorii pozostanie w nim na całe życie. Idzie w kierunku bardziej intymnym, dosłownie zanurza się we własne środowisko duchowe, przepojone wzruszeniem, atmosferą, tajemnicą. Nie wyrzekając się koncepcji budowania obrazu, pcha ten świadomy konstruktywizm w dziedzinę wrażliwości i intuicji. Widzi rzeczy w atmosferze ich odrębnego życia, słowem naturę czuje nie tylko jako pretekst dekoracyjny, ale jako wartość oryginalną, zagadkową, do której należy się zbliżać całą mocą swej intuicji. Rysunek Bonnarda jest delikatny, skupiony, deformacje nie mają w sobie nic z pozy, Rzeźbom się: są aluzjami do tej drugiej, wewnętrznej rzeczywistości, którą można obejrzeć tylko w wielkim skupieniu twórczym.

Umarł w swojej rezydencji koło Cannes, przeżywszy 80 lat. Szorstki, skąpy w wydatkach, pochłonięty pracą i chorą żoną. Wrażliwy, aż dziwaczny w stosunkach z przyjaciółmi. Od pewnego czasu odmawiający sprzedaży swoich płócien. Jeden z tych Francuzów, którzy byli pełni sztuki, potrafili zbliżyć się do niej na jakąś niewiarygodnie bliską odległość, może dlatego, że oddawali się temu problemowi wyłącznie. I to nas uderza, niepokoi i cieszy.

Z. Florczak

TADEUSZ SUŁKOWSKI

Do róż

Muzyko w trawie różowa,
wołamy i przez pustkę idziemy —
wszystko dobre jak w krzak we mnie wprowadź,
niech też będę instrumentem u warg ziemi.

Na gałązkach pukle obłoku
i jutrzenki pierścionek młody,
pąku zaranny — odpuść,
strugo różana — omyj.

Zapachu rzeczy najczystszy,
który po ziemi zostaniesz,
naucz, by w trosce jak pośród liści
zakwitł serca czerwony wianek.

Planety pasą się w trawie
i owce spędzone na rosę —
o gniewie, po którym słabnę,
o płaczu, po którym rosnę.

Uciszcie niewiedzącego,
loki jutrzenek i owiec —
jaką gałęzią iść pod niebo,
drzewo różane — powiedz.

JAN OLECHOWSKI

Dzień dzisiejszy

Sensu dni tych na próżno szukasz
Pośród zdarzeń — skaczących liter,
Które gdzieś tam pijany drukarz
Na zepsutym gra linotypie.

Próżno błądzisz po wszystkich drogach
Pośród miast i kamiennych domów,
Które jesień tuli jak trwoga
I żałosny płacz saksofonów.

Nie rozpoznasz nikogo w tłumie,
Choćbyś chciwie wyciągał ręce —
Jeśli nie wiesz dziś, nie rozumiesz
Czemu serce pęka piosence.

Jeśli przedtem bolesna rozpacz
Ta ostatnia, zła i zawzięta
Nie porazi piersi jak postrzał
Aż do głębi skrytego męstwa.

Jeśli więcej żal nie zadźwięczy,
Że nie można dziś strofą srebrną
Wspiąć się po złotej gwiazd poręczy
W nieba samotne, ciche piękno.

Że trzeba w smutku nieulękłym,
Który już wszystkich doznał gromów,
Zejść w głąb codziennej, ludzkiej męki
W żałosnym płaczu saksofonów.

JÓZEF ŻYWINA

Odpływ

Chmurność jak mewa nad głębinami
wisi — i podcięta nagle wiatrem
pod maszt się rzuca. Płyniemy wodami
które już do nas nie wrócą,
nie wrócą
— popłyną z wiatrem.

A sól na wargach z naftaliną w duszy
i na skrzydłach — zostały.
Błądzimy wciąż po pokładach.
Po drodze odpływ prószy
i napływ słonego mroku.
Latarnie blade znikają
— ostatni spokój.

Odpływ wód i odpływ rąk z wiosłami.
Gwiazdy zostały i my między gwiazdami.
Śród gęstwy cisz
słychać zbliżanie się czasu
— w nieskończoność.
w nieskończoność znużeni się wiszym.

Zanim ten list z pokładu dojdzie was —
przeleci przypływ.
Nowi ludzie
(i też bez winset) przepłyną czas
aby tęsknić — aby się łudzić
i morzem wieków opasać.

LISTY Z LONDYNU (III)

Tajemnicza miss i nieznajomy z Jamajki

Polscy przybysze ze słonecznej Italii znajdują się w pierwszym stadium nawiązywania kontaktów z tubylcami. Przygoda plutonowego Tobiasza zaleca pionierom „zacieśniania węzłów" zwiększenia czujności na nieznanym gruncie. Rzecz dzieje się w ekspresie Liverpool-London. Na wstępie parę objaśnień.

Plutonowy Tobiasz czuł jakąś rzewną słabość do starych stolic i młodych kobiet. Dzieciątkiem będąc z rodzinnego Mińska Mazowieckiego wyrywał się do Warszawy. Pod włoskim niebem — już jako miles praeclarus, choć pod Predapio leżał, urywał się do Rzymu. Kiedy go fatalny wynik tej wojny zagnał do obsługi obozu przejściowego pod Whitchurch, bryknął do Londynu.

Tobiasz nie zaglądał do rozkładu jazdy, nie oglądał się na perony i napisy, szedł tylko za dźwiękiem polskiej mowy. Jużto perony przydrożne zieleniły się od naszych battle-dressów jak stragany na wiosnę. Polaków w cywilu poznawał po angielskiej flegmie, krótkich fajeczkach i angielskich pismach dźwiganych pod pachą. Tobiasz wpakował się do przedziału, zasalutował jak struna, aż Angielki pospuszczały oczy i pokryły się cichym rumieńcem zadowolenia. A zwłaszcza jedna z nich, ta vis-a-vis, na widok panatobiaszowych baretek mrużyła oczy jak kocica przed klatką z kanarkiem.

Pan plutonowy spojrzał na tę buzię owalną, na te włoski koloru bordo i uczuł, jak mu jedna kropla miodu za drugą kapie prosto w serce. Z miejsca zaczęła mu się Anglia podobać. A niech tam sobie deszczyk popaduje, będzie lepiej rosło! A niech im tam Pan Bóg brak wódki i białej wędliny przebaczy, skoro sami nie wiedzą, co jedzą. Nagle spostrzegł, że siedzący obok niego lotnik z napisem „JAMAICA" na rękawie przekrzywia się zalotnie w stronę pięknej Angielki. „Ach, ty dzikusie zamorski! — pomyślał sobie — wara ci od tej Angieleczki, czyjaż tu, do diabła, okupacja: polska czy jamajczana?"

Atoli Jamajkarz coraz widoczniej hipnotyzował dziewczynę. Tobiasz rzucił mu spojrzenie ciężkie jak cegła. Jamajkarz zmarszczył brew. Tobiasz warknął. Dziewczyna uśmiechnęła się liliowo-przezroczyście, jak to tylko pastelowe Angielki potrafią.

„Naprzód, wiara, iść przytomnie! — zapulsowało Tobiaszowi w skroniach — tylko wara płakać po mnie!" — niechcąco — naumyślnie trącił lotnika w bok.

— Sorry — uśmiechnął się zamorski cudak i nadepnął plutonowemu na but.

„Narwik - Tobruk - Cassino - Bolonia!" — przeleciało krewkiemu Tobiaszowi przez rozpaloną głowę. — Chwycił Jamajkarza za podszycie i wyniósł go z przedziału na korytarz.

Dziewczyna zbladła. Reszta pasażerów zatrwożyła się w sobie, a pewien starszy sir wyszedł ze siebie i usiadł obok.

Po chwili wszedł do przedziału... Jamajkarz! Usiadł i zapalił papierosa.

— Jezus, Maria! — krzyknęła ruda dziewczyna po polsku — co się stało z plutonowym?

Jamajkarz uśmiechnął się i oblizał wargi.

Po chwili wszedł Tobiasz z przetrąconą chrząstką nosową.

— Ale też pana zaprawił ten malpolud! — rzekła dziewczyna — biedny pan plutonowy.

— To pani Polka? — ucieszył się Tobiasz.

— A juści, że Polka. Ze Sieradza. Krysia Miodowska jestem. Do wuja jadę, do Londynu. Przykro patrzeć jak naszych biją...

Plutonowy połknął pigułkę jak porcję cjankali i spojrzał z nienawiścią na roześmianego lotnika.

„Jamajkarz" wstał i przedstawił się po polsku:

— Porucznik Kalinowski, instruktor R. A. F. na Jamajce.

Wszyscy troje wybuchnęli głośnym śmiechem.

Zgorszeni Anglicy wynieśli się chyłkiem: „ach, ci Polacy!"... (Ach, gdyby Polacy byli instruktorami na Jamajce, mógłbym się sprzeczać, że to historia autentyczna, ale tak — si non vero...).

Jak wspaniała nasza postać!

Idąc w godzinach przedpołudniowych z Knightsbridge w stronę Brompton Oratory, czyli od klubu „Orła" do nowej siedziby naszego sztabu, czujemy się jak w Anconie — tyle polskich mundurów, twarzy i wąsów. Z prożnością stwierdzamy, że za naszymi chłopcami oglądają się tylko ładne i zgrabne kobiety. Jak pouczają prowizoryczne statystyki londyńskiej policji drogowej, od chwili polskiej inwazji na wyspę liczba wypadków ulicznych wśród kobiet, a zwłaszcza przejechań w chwili przechodzenia jezdni, wzrosła o 50% — tak się biedaczki oglądają. Jużto życzliwy „Daily Worker" powinien się zająć tą nową prowokacją polskiego faszyzmu. Szczerze mówiąc — na tle szarzyzny ulicznej, jakna monotonnie przepływa ulicami Londynu, jest się i za czym obejrzeć.

Jaka miła metamorfoza! Przed 1939 rokiem nie często widywaliśmy na Marszałkowskiej eleganckich strzelców bez cenzusu. Był okres, że owijano im nogi do kolan wielonymi owijaczami i nosili okropne, jak balon wydęte, szynele i siedmiomilowe buciory, nabite niewiarygodną ilością gwoździ. Nie chcąc szargać narodowych świętości, zaoszczędzamy sobie opisu, jak wyglądał illo tempore w kawalerii tak zwany luzak do czyszczenia stajni w podchorążówce, czy pucwiczy ordynans Trzepajło spod Dawidgródka. Dzisiaj na Brompton Road nie rozróżnisz z daleka, czy na spacer idzie pan kapitan czy pan kapral. Szyk i fason ten sam. Te same efektowne półbuty koloru wiśniowego za 7000 lirów, ten sam płaszcz do figury i ten sam fantazyjny berecik. Jest to niewątpliwie pewne wewnętrzne osiągnięcie w kierunku demokratyzacji wojska, pewne wyrównanie w górę. Żołnierz nasz pod wpływem zetknięcia się z szerokim światem zaczął przykładać większą wagę do wyglądu zewnętrznego. I nie tylko do wyglądu! Powiedzmy sobie otwarcie: małorolny spod Ostroga nad Horyniem przed powołaniem do wojska przecinał zapałki na czworo, dzisiaj ma super heterodynę i aparat fotograficzny. W epoce smucenia się wszystkich ze wszystkiego zaksięgujemy tę drobną pozycję po stronie „Ma".

Pochwała Robinsona Cruzoe

O, gdyby pobyt na wyspie polegał jedynie na imponowaniu swą urodą, większość naszych rodaków miałaby pracę zapewnioną do końca życia. Hadki to temat, ale warto by więcej podumać nad pracą i przyszłością.

Było to przed kwartałem. W Porto San Giorgio nad Adriatykiem. Gromadka spacerujących widziała na walizkach takie rozmowy:

— Trudno, trzeba życie zacząć od nowa, żadna praca nie hańbi!

60-letni panowie, którym się emerytura należy jeszcze za rok 1939, zapewniali, że choćby im przyszło zaczynać od chłopców okrętowych — pójdą pracować! Panie były zdania, że najlepszym wyjściem z nowej sytuacji jest poszukanie sobie zajęcia przy angielskiej rodzinie w charakterze pomocnicy domowej, bo to i łazienka i 4 funty na tydzień, i własny pokój, i utrzymanie i dzień wolny w tygodniu itd. Ileż zapału biło z twarzy dyskutujących na kuferkach! Ileż entuzjazmu i szczerej woli pracy!

Siedząc u polskiego fryzjera w „Orle" naliczyłem dwudziestu panów w ogonku. Spocony z nadmiaru gorliwości fryzjer pracował jak wiatrak. Ale pracował solo.

— Dlaczego nie ma pan pomocnika?

— Pół roku już szukam. Bez skutku. Nikt się nie zgłasza!

„W naszym obozie pod Liverpoolem — pisze mi przyjaciel — szukali chętnych do pracy w NAAFI. Warunki były korzystne. Na 80 zaofiarowanych miejsc zgłosiło się 5 osób."

„Przybyłem do Wielkiej Brytanii byłym przedwojennym urzędnikom komunalnym i państwowym marzy się jakaś posada — mówi kierownik urzędu pracy w Blackpoolu — ale my nie możemy im, niestety, dawać pracy w tych zawodach."

Siedzący u beczkach inteligenci łudzą się również nadzieją otrzymania posady w polskich instytucjach. Co parę dni skacze ktoś na rekonesans spod Szkocji do Londynu i potem wraca zawiedziony do domu, klnąc w powrotnym pociągu własnych rodaków aż do pokolenia Piasta kołodzieja wstecz.

Pokusa urzędnicza w polskiej instytucji jest rzeczą nader zrozumiałą, jeśli się uwzględni, że przeciętna pensja w tym zawodzie wynosiła w czasie wojny dwie pensje wykwalifikowanej angielskiej stenotypistki. Ale „wojna — jak twierdzi Maćko z Bogdańca — skończyła się wczoraj" i polskie instytucje, o ile jeszcze istnieją i siłą inercji egzystują, przypominają ligowe kluby piłki nożnej, gdyż rozporządzają na zawołanie kilkoma zapasowymi drużynami do pracy. I chociaż stołek nie przechodzi z ojca na syna, wszystkie luki są tak wodoszczelnie zatkane, że nawet najlepsze starosarmackie tradycje w dziedzinie nepotyzmu i protekcjonizmu biorą sromotnie w łeb. Próżno by tu krzyczał wieszcz: „Dalej z p o s a d było światu!..."

Postawienie siebie w roli polskiego Robinsona Cruzoe na bezludnej wyspie, gdzie trzeba samemu krzesać ogień z dwóch kijków — jest bodaj najrozsądniejszą postawą wobec życia, jaką po przybyciu do Wielkiej Brytanii winien przyjąć każdy zawiedziony inteligent. Na beczkach śmiechu przez łzy powinien powiewać raczej proporczyk ze znakiem Kiplingowskiego kota, „który chadzał własnymi drogami", niż owcy znanej ze swego pędu. Kompleks dipisowski (stałe wyczekiwanie obcej pomocy) winien ustąpić miejsca fryderycjańskiej zasadzie: „Pomóż sobie sam, a pomoże ci Pan Bóg!"

Obozowa „siłaczka"

Czytałem kiedyś reportaż z obozów dla rodzin, w którym ktoś zachwycał się dróżkami wysypanymi białym żwirem. O ile w ogóle istnieje coś do zachwycania się, to raczej ów, dzięki Bogu, dość znaczny odsetek obozowych Judymów, którzy na tle słabego obsadzania oferowanej przez NAAFI pracy i obozowego kartograjstwa, połączonego z rozwiązywaniem krzyżówek, zapracowywują się dla dobra ogółu od świtu do nocy.

Jest w obozie Tillstok pewien pan w cywilu z wąsami, którego tytułują „majorem", a który dla kobiet i dzieci dźwiga kilometrami węgiel na grzbiecie. Jest w obozie Doddington pewien plutonowy, który wolny czas po służbie zużywa na dobrowolne wicie miotieł z różeg dla izby chorych. Jest w trzecim szpitalu wojskowym w Penley kobieta-anioł, 63-letni doktór-ginekolog Duczmińska, człowiek, który nie zna wypoczynku. W tzw. willi „Porodówce" dzieci polskie rodzą się jak u Forda. Po sześć, siedem porodów dziennie. Warunki są arcyprimitywne, obozowe, a więc brak bielizny, trzeba nosić z dala węgiel i jedzenie, w ogóle ciasno, biedno i ponuro. „Babcia" (tak ją nazywają w szpitalu) mogłaby już dawno pójść sobie na emeryturę, ale „Babcia" woli wstawać o drugiej w nocy i bieg w deszczu z jednego baraku do drugiego, woli rezygnować z godzin wypoczynku dla dobra pacjentek. „Nikt z nas nie widział jeszcze „Babci" śpiącej lub wypoczywającej" — mówią w szpitalu. „Niech pan tylko nie zapomni pochwalić naszej kochanej „Babci!" — krzyknęło mi czterdzieści kobiet na pożegnanie. „Babcia" — to prawdziwy anioł!" „Babcia" jest burkliwa i prawdopodobnie obrazi się za tę publiczną pochwałę w „Orle", ale na tle dzisiejszego przygnębienia należy palcem wytykać ludzi ofiarnych, dzień i noc spełniających bez szmrania swój szary obowiązek na rzecz ogółu. Komu dokucza emigracyjny spleen, kto rozpacza nad „upadkiem logu na samo dno", niechaj pomyśli na chwilę o codziennej bezimiennej pracy sióstr w szpitalach, nauczycieli w szkołach polskich i o tym plutonowym, który wije dobrowolnie miotły zamiast pójść się przespać do kina.

T. NOWAKOWSKI

Życie kulturalne w Kraju

REWINDYKACJA

Jak wiadomo, Niemcy wywieźli z Polski większość naszych zasobów kulturalnych. Ostatnio wróciło do Kraju kilkadziesiąt tysięcy tomów Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, Jagiellońskiego, część Biblioteki Sejmowej oraz następujące archiwa: Instytutu Geologicznego, Instytutu Meteorologicznego, Poznańskich Zakładów Inżynierii Leśnej, Zakładu Bakteriologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego i Zakładu Weterynaryjnego w Puławach.

Wróciło także szereg zbiorów muzealnych, ołtarz Wita Stwosza z kościoła Mariackiego w Krakowie. W magazynach firmy „Norddeutsche Raffinerie" w Hamburgu odnaleziono polskie dzwony kościelne. Dotychczas zdołano rozpoznać ok. 1.000 dzwonów, pochodzących z kościołów całej Polski. Według niezupełnych obliczeń Niemcy wywieźli ogółem ok. 8.000 dzwonów, których ogromna większość została przez nich przetopiona na metal.

POŁOŻENIE MATERIALNE NAUCZYCIELSTWA

Donosiliśmy już o tragicznym wprost położeniu nauczycielstwa polskiego. Uposażenie, wynoszące 3.500 zł. miesięcznie może w drobnym zaledwie procencie pokryć rzeczywiste potrzeby. To też nauczyciele — aby żyć — szukać muszą dodatkowych zarobków na innych polach albo też porzucać swój zawód. Proces ten w ostatnich czasach przybrał rozmiary masowe, co zmusiło wreszcie administrację warszawską do pewnej poprawy warunków bytu nauczycielstwa. Uczyniono to nie w formie podwyższenia pensji, ale w sposób daleko mniej obowiązujący: w postaci dodatku, wynoszącego zresztą prawie 100% dotychczasowego wynagrodzenia. Tak więc nauczyciel szkoły powszechnej zarabia od 1 lutego 6.500 zł. Kwota ta nie pokrywa jeszcze połowy rzeczywistych potrzeb. Ta podwyżka jest nie tyle objawem troski o byt nauczycielstwa, co znakiem rosnącej z miesiąca na miesiąc inflacji.

INSTYTUT BADAŃ WARSZAWY

Przy Uniwersytecie Warszawskim powstał Instytut Badań Warszawy. Jest to zakład międzywydziałowy; pozostaje on pod kierownictwem prof. S. Arnolda. Celem Instytutu jest badanie Warszawy ze specjalnym uwzględnieniem jej funkcji społecznych w ujęciu historycznym, oraz ustalenie wytycznych dla celów planowania gospodarczego, społecznego i kulturalnego stolicy.

NORWID W TEATRZE ZIEMI POMORSKIEJ

Teatr Ziemi Pomorskiej w Toruniu przygotowuje wystawienie fantazji dramatycznej Norwida p.t. „Za kulisami". Przedstawienie poprzedzone zostanie recytacją szeregu utworów poety. Będzie to pierwsza bodaj próba reżyserska dyrektora teatru Wilama Horzycy.

TEATR EKSPERYMENTALNY W KRAKOWIE

Studenci Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych stworzyli interesujący teatr eksperymentalny, pozostający pod kierownictwem literackim Stefana Flukowskiego. Na program pierwszego wieczoru złożyły się fragmenty z dzieł Szekspira oraz utwór Flukowskiego „Tęsknota za Julią".

ZBIOROWY POGRZEB POWSTAŃCÓW

W Warszawie odbył się zbiorowy pogrzeb poległych powstańców grupy „Gozdawa". M. in. rozpoznano zwłoki jednego z bardziej utalentowanych poetów najmłodszego pokolenia, Krzysztofa Baczyńskiego, który zginął na „reducie ratusza" w pierwszych tygodniach powstania. W czasie okupacji niemieckiej pod pseudonimem Jana Bugaja ogłaszał liczne poezje w prasie podziemnej oraz wydał oddzielnie zbiór p.t. „Śpiew z pożogi".

ZAWODOWY PODRÓŻNIK

Arkady Fiedler po powrocie do Kraju spotkał się z napastliwą wprost postawą krytyki, która wspominając jak najlepiej jego przedwojenne dzieła, ostro zaatakowała to wszystko, co Fiedler ogłaszał ostatnio w czasopismach. Niektórzy krytycy doradzali Fiedlerowi, aby przedsięwziął podróż do Kanady, która zdaje się najbardziej mu odpowiadać swoim chłodnym klimatem, inni znowu — aby udał się do krajów tropikalnych, które mogą go pociągać swym klimatem gorącym. Widać zawodowy podróżnik nie nadaje się do „umiarkowanego" klimatu panującego nad Wisłą. Ostatnio i sam autor „Dywizjonu 303" doszedł do wniosku, że lepiej rzeczywiście zmienić klimat i wyjechał do Londynu, skąd ma się udać wypróbowanym już szlakiem — na Madagaskar.

JESZCZE O „CHŁOPCU Z SOSNOWCA"

Jan Kiepura przypomniał ostatnio światu o swoim istnieniu. Niedawno rozesłał do wszystkich prawie pism krajowych swoje fotosy z własnoręczną dedykacją. I zapowiedział, że latem przyjedzie. Jak wiadomo Kiepura od dłuższego już czasu prowadził akcję za powrotem do Kraju, sam jednak wolał nie oglądać swej ojczystej „Patrii". A po cichu starał się o uzyskanie obywatelstwa amerykańskiego, które teraz właśnie otrzymał. W dwa tygodnie po swoim małżonku obywatelstwo amerykańskie uzyskała także Marta Eggerth.

DLA ŚCISŁOŚCI

Używanie obcych wyrazów — jak stwierdził niedawno A. Tomicki na łamach „Orła Białego" — jest rzeczą wysoce niewłaściwą. Ale może być także — niebezpieczne. Przed wojną znana spółka literacka Helena Boguszewska i Jerzy Kornacki pierwszy tom powieści „Polonez" zatytułowała obcowyrazowo „Nous Parisiens". Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza", która tę książkę wydała obecnie, postanowiła poprawić tytuł, o czym możemy się dowiedzieć z „Gazety Robotniczej": „H. Boguszewska i J. Kornacki wydali dotychczas w Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza" — „Polonez", tom I: „Neues Parisiens". Czy nie łapiej byłoby już „Wir Parisiens"? Można by przynajmniej pomyśleć, że to pomyłka składacza i że tytuł powinien brzmieć: „Wir Paryża", co by na pewno zapewniło książce powodzenie.

Nie tylko jednak same obce słowa są przyczyną wielu ludzkich kłopotów, ale w ogóle wszelkie rzeczy obcego pochodzenia. We wrocławskim „Słowie Polskim" ukazał się niedawno program radiowy, w którym można było wyczytać:

„19.00 Audycja z Teatru Wielkiego w Poznaniu opery Montgomery'ego, „Rycerskość wieśniacza i pajac", w przerwie dziennik wieczorny i audycja literacka z Warszawy. 20.10 Dalszy ciąg transmisji opery „Rycerskość wieśniacza i pajac".

Biedny Mascagni i Leoncavallo, którzy ze swoimi operami stawali niegdyś w szranki konkursowe. Oto jak zjednoczył ich duch „nowych czasów"! Nawet pod jednym tytułem! A co do niejakiego Montgomery'ego, to jest to — jak wiadomo — jedyny spośród marszałków brytyjskich, który dostąpił zaszczytu rozmawiania z samym Stalinem na Kremlu.

Do naszych czytelników we Francji

Wszystkich stałych odbiorców naszego pisma we Francji uprzejmie prosimy o uregulowanie należości za abonament „Orła Białego" do dnia 28 lutego br.

Abonentom, którzy do tego terminu nie uregulują należności za otrzymane numery, względnie za I. kwartał br., wstrzymamy dalszą wysyłkę „Orła Białego".

DZIEŃ UWOLNIENIA

Z. ZBICIŃSKI

Przypuszczalnie to będzie dzisiaj. Codziennie coraz szybciej linia frontu przesuwa się naprzód i codziennie więcej nazw miejscowości, które w komunikatach jednej strony figurują jako zdobyte, a drugiej jako stracone, daje świadectwo coraz szybszej agonii niemieckiego oporu. Codziennie świat ginący oddaje temu, który ma przyjść, tysiące istnień ludzkich, a nas jest prawie sześć tysięcy.

Jesteśmy stłoczeni na małej przestrzeni, toteż dość szybko tworzymy sobie zbiorową opinię o każdym wypadku nas interesującym. Opinia ta ma to do siebie, że przeszedłszy błyskawicznie, w swoim krótkim, ale doskonale precyzyjnym procesie stawania się, przez krytykę całej skali usposobień i typów, od łatwowierności do krańcowego sceptycyzmu, formułuje się ostatecznie w zdanie, mogące bezpiecznie kursować z ust do ust, bez obawy szybkiego obalenia. Jest wytarte i nie razi, ale jest jednocześnie pozbawione piętna osobowości.

O ile chodziło o nasze małe społeczeństwo, w ostatnich paru dniach bliskość wypadków, stanowiących cel trwania dla jednych z nas od lat, dla drugich od kilku miesięcy, zmieniła nas bardzo. Emocja oczekiwania działa dziwnie. Rzeczy, które nas do tej pory zbliżały, wspólne nadzieje, wspólne tematy rozmów, teraz zaczęły nas raczej dzielić. Wiatr, dopóki wieje równo, bez gwałtownych porywów, zbiera zeschłe liście w jakimś zaułku i przypiera do miejsca, uciskając coraz bardziej jedne na drugich. Powstaje zwarty kopiec, w którym trudno jest odróżnić jeden liść od drugiego, aż dopiero inny kierunek i silniejszy powiew niweczy zwartość kopca i zmusza każdy liść do wirowania swoim własnym torem. Po prostu wyzwala jednostki. To samo stało się z nami. Wobec oczekiwanego przełomu, długie kalkulacje, dyskusje większych i mniejszych grupek po codziennych komunikatach radiowych straciły rację bytu. Faktów było już dosyć wczoraj i przedwczoraj. Wystarczyły, żeby w najbardziej ostrożnym z nas zerwać tamy, stawiane przez rozum nadziejom na szybki koniec niewoli i świeżo zdobytą, radosną pewność wydać na sąd najbliższych dni i godzin.

Ogólnie, nie porozumiewając się zupełnie, zaryzykowaliśmy wierzyć i czekaliśmy. Byliśmy wszyscy graczami, którzy postawili dużo na prawie pewną kartę. W podobnych wypadkach podświadome napięcie wyraża się pragnieniem odosobnienia. Takie chwile nie znoszą komentarzy i wymiany poglądów. Do momentu ziszczenia albo upadku nadziei chcemy być sami, potem dopiero odnajdziemy naszych przyjaciół i towarzyszy, z którymi podzielimy radość albo zniechęcenie.

Na razie, od rana 29 kwietnia wierzymy, że „oni" przyjdą dzisiaj i szukamy we wszystkim, co możemy dokoła nas dostrzec, potwierdzenia tej wiary. Dzień jest ładny i ciepły. Nieskalanie niebieska kopuła nieba, poszarpana na południu, za niewidocznym Garmisch, znaczonym płatami śniegu grzebieniem masywu Zugspitze, przecięta na bliższym planie prawie idealnie prostym grzbietem od łysego Herzogstandu do Estergebirge, spływa łagodnie na północy poza horyzont monachijskiej równiny.

Gdy staniemy za blokiem A, mamy wprost przed sobą w kierunku północnym otwarty widok na drogę do Monachium, gdzie „oni", Amerykanie, są od wczoraj. Droga ginie za drugim zakrętem w lesie, około kilometra od obozu, ale jeżeli wdrapiemy się na dach bloku, wyczyn ten pozwoli nam ujrzeć ją znowu, za lasem już dużo dalej i w szczęśliwym wypadku być jednym z pierwszych zwiastunów wielkiej nowiny. Za kilka godzin na dachu nie będzie wolnego skrawka, a pod narożną wieżyczką tłum zerwie i zdepcze pierwsze druty ochronne, ale na razie jeszcze jest czas.

Tak, jak wczoraj, rannego apelu nie ma. Po herbacie mój przyjaciel i ja wychodzimy z bloku i spacerujemy wzdłuż drutów, naokoło obozu. Niewiele rozmawiamy ze sobą; atmosfera dnia działa i na nas, chociaż na ogół my z powstania przyjmujemy nadchodzącą zmianę dużo chłodniej niż reszta. Może wyczekiwaliśmy z bardziej widoczną niecierpliwością, buntowaliśmy się jeszcze, ale nie zdążyliśmy przejść żadnego z głębokich, psychicznych przełomów długiej niewoli. Nikt z nas nie dowiedział się jeszcze co to znaczy, w okresie gdy zmiana istniejącego stanu rzeczy jest jedyną racją życia, — bać się jej, bo już się zapomniało jak życie wygląda, a nawet nie bardzo się wierzy w jego istnienie.

Nie jesteśmy wzruszeni, bo czymże się wzruszać, skoro po to przyszliśmy tutaj, żeby prędko wyjść? Kilka miesięcy temu, w piekle, każdy gwizd bomby był dzwonem pogrzebnym naszych zwycięzców. Gdy nas prowadzili, widzieliśmy klęskę w ich oczach. Dziś, to dla nas spełnienie matematycznego rachunku, który nie mógł zawieść. Jesteśmy tylko bardzo, bardzo ciekawi, jak to wszystko będzie wyglądać.

Spacerujemy dość długo, może godzinę, a potem idziemy na nasze stare miejsce za blok I, zdejmujemy koszule i opalamy się. Na niewielkim kwadracie, odgraniczonym z dwóch boków blokami a z dwóch drutami, z wieżyczką strażniczą w rogu, jest nas kilkudziesięciu, przeważnie starzy, pięciołetni pensjonariusze i kilku towarzyszy z drużyny. Na budce jest jeszcze Niemiec z karabinem.

Nasze spojrzenia mierzą mu każdą minutę i sekundę warty. Gdy budka będzie pusta, przyjdzie wolność, dopóki on jest, wolności nie ma. To jest mowa stu par oczu i żołdak wie o tym. Czuje się zresztą niepewnie i gestami daje nam znać, że zejdzie już niedługo. Uśmiecha się przyjaźnie, służalczo i trochę niepewnie.

Przez pięć lat, znudzony i obojętny, nieświadom przepastnej symboliki dzieł ludzkich, na wątłej platformie z podpartym kilkoma słupkami daszkiem, plamą niebieskiego munduru wgryzał się w miękką, chwytliwą glinę pamięci ludzkiej. Dziesięć wieków wtłoczyło się w niebieski mundur. Ciężą bardzo budce opartej na drewnianych palach. Wokoło niej unoszą się widma innej, młodszej ziemi. Niegdyś gruba, krzemieniami okuta maczuga miażdżyła czaszki zwyciężonych. Pasja walki konała w przedśmiertelnym skurczu przerażenia, ale zaciśnięte wargi nie zdradzały pokonanego wojownika. A jeżeli je strach zdołał rozewrzeć, jakby zawstydzony za swoją ofiarę, oddawał ją po śmierci, nie hańbię. Czaiła się na basztach obronnych twierdz, w zimnych wilgotnych fosach warowni, przelękła konała u progów gotyckich katedr, ale ręce żołnierza ileż to razy podsuwały trójgraniastą mizerykordię, co znała tak dobrze odpowiedź na prośbę o litość. Pracowity umysł nowoczesnego człowieka rozsnuł twarde żelazo sztyletu na setki cienkich drutów, które już nie zabijają. Zamknięto nimi ludzi po to, żeby wypowiedzieli to, co kiedyś ginęło na ostrych zrębach pałki albo w kałuży krwi, wylanej sztyletem. Żeby świat usłyszał mowę zwycięzonych.

Im później, tym mniej patrzymy na wartownika. Raczej poprzez niego na dalekie wzgórza, drogę, białe dachy miasteczka, w niebo. I pilnie słuchamy.

Nie słychać nic i czasami głośniej wypowiedziane słowo zwraca na chwilę wszystkie głowy w jedną stronę. Na chwilę, bo to przeważnie ktoś wyraża jakieś przypuszczenie, a to już jest za mało. Głód faktów: ponura, spokojna histeria liczenia sekund i wyrafinowana, patologicznie dokładna działalność dwóch zmysłów: słuchu i wzroku. Zresztą, grupkami czy pojedyńczo, otrząsamy się z tego i wtedy mówimy, ale rozmowy szybko gasną. Jest już nastrój widowni na pięć minut przed rozpoczęciem przedstawienia, tylko jeszcze nie ma aktorów.

Około południa przeciągły, płaczliwy sygnał zbliżania się nieprzyjacielskich grup pancernych rozdziera kurtynę. Publiczność już wie, że nie trzeba będzie tłoczyć się przed kasą o zwrot pieniędzy. Opłaci się koszmarnie droga cena biletu. Za sceną, która jest pusta, gdzieś daleko słychać kilka serii broni maszynowej. Chociaż nasze miejsca z widokiem na południe, na Garmisch, nie rokują wielkich nadziei, nikt się na razie nie rusza. Na północnym krańcu obozu, za blokiem A, jest już i tak pełno, a zresztą, czy zjawisko tak wielkie musi się odbyć normalnie? Tylko nieliczni odchodzą na krótko do bloku, żeby coś zjeść i zaraz wracają.

Tymczasem nowy, potężniejszy instrument ratuje gasnącą uwerturę karabinów maszynowych. Nad dworcem, w odległości może kilometra, pęka z suchym trzaskiem pierwszy szrapnel. Nie szkoda błękitu nieba, skalanego czarno-szarą, nieregularną plamą. Drugi, trzeci — z daleka, bo strzałów prawie nie słychać. Teraz już tylko chodzi o to, kto najlepiej i najwięcej zobaczy. Co parę minut strzał. Na polach, na drodze, wszędzie pusto. Z narodu, który nas tu więzi, który prowadzi tę wojnę, jest tylko wartownik na budce. Ciągle jeszcze jest. Obrona? Przeciwko „nim"? Tego czynnika nikt teraz nie bierze w rachubę. Przecież Ameryka produkuje miesięcznie...

Ale dla nas to nie jest wojna, tylko fragment, w którym nie ma miejsca dla nikogo, poza nami i tymi co tu przyjdą. Strzelają uporczywie w to samo miejsce. Chwilowa jednostajność denerwuje niecierpliwszych, toteż co chwila ktoś podnosi się i biegnie za blok A. Ze wszystkich bloków poprzez szeroki plac zdążają ku tamtej wieżyczce. Z daleka widać, że dachy pokryte są już mrowiem ludzkim. W narożniku i wzdłuż północnych drutów gęsty tłum. Względną ciszę po ostatnim szrapnelu mąci zbliżający się warkot samolotu. Syreny alarmowe milczą i wszystkie głowy stopniowo podnoszą się do góry. Mały, brzęczący punkt zatacza koła gdzieś nad niewidoczną drogą, ale ciągle się zbliża. Wywiad artyleryjski? Ubezpieczenie wojsk pancernych? Nawet gdy jest tuż, nad nami, bardzo mało różni się od niemieckiego Storcha. Leci wolno, nisko. Tylko znaki na skrzydłach są białe, w kształcie gwiazdy. Prześlizguje się w naszej świadomości wspomnieniem codziennego lotu potężnych kluczy bombowców, gwizdu syreny i głuchego łoskotu bomb poza horyzontem. Zniża się i dostrzegłszy białe litery napisu na środku placu, salutuje obóz dwukrotnym przechyleniem w lewo i w prawo. Chyba ma radio? Potem zatacza dalsze koła nad miastem, ale już nie zwraca niczyjej uwagi.

Jest godzina druga. Kto pierwszy krzyknął „hurra" i kto pierwszy dał znak białą chustką? Czy z dachu, czy stąd, spod drutów? Chyba żadna jeszcze orkiestra nie podchwyciła tak prędko znaku dyrygenta. „Hurra" — krzyczą wszyscy, dach i dół. Dzika i prosta jest uwertura do ostatniego aktu. Słychać ją w całym obozie. Dolatuje i do ciemnych korytarzy, co przecinają każdy blok dwukrotnie wzdłuż. Stłumiony odgłos odbija się od cienkich drewnianych pudeł szafek w pokojach.

Tu i ówdzie słucha ktoś, kto nie wie, dlaczego nie wyszedł z innymi. Ktoś, kto czeka, ale nie doczeka się już nigdy niczego, a przynajmniej nie dzisiaj. Dusze, ujęte w czworobok drutów. Drutów, które od pięciu lat cichaczem, nocami, kradły wolną przestrzeń. Nie trzymały ich pale wbite mocno w ziemię. Usypiały powolnością ruchu. Aż na koniec, gdy były już zupełnie blisko, znikły sprzed oczu. Są w środku, własne, niewidoczne, ale każdy odruch, każda myśl nosi ich piętno. Tam żaden czołg nie zrobi wyłomu, aż przeżarte rdzą opadną same, ale na dzisiaj to nie wystarczy, że kiedyś może nie będzie nawet śladów. Czy nie milknące okrzyki docierają do czwartego zakrętu szosy, gdzie potężniejący ciągle grzmot motorów nie zdołał rozepchnąć ciemnozielonych, świerkowych ścian?

Jaśniejsze, młode brzózki przy drodze, to dobre tło dla posępnie szarej wieży pancernej pierwszego czołgu. Migawka. Są już dwa, trzy, dziesięć, nieprzerwana kolumna. Czterysta metrów, trzysta pięćdziesiąt, trzysta. Gdzie jest władza słów, żeby znaleźć miernik dla trzystu metrów i pięciu lat? Grzmot motorów odrywa się od kolumny i ponad naszymi głowami łączy się z drugim, z powitalnym okrzykiem, ale my go odpychamy z powrotem. On i kolumna to jest całość. Należy do niej. Sto metrów. Długie lufy dział. Białe gwiaździste znaki. Łoskot nie przeszkadza widzieć, że koniec kolumny wciąż ginie w lesie. Ostatnie pięć metrów. Czołowy wóz jest już za narożnikiem.

Warkot milknie i w przejrzystym tumanie kurzu kolumna stoi. Wcale nie czuć, że w zaciśniętej naokoło drutu dłoni płynie krew. To wbity kolec. To już. Zmęczone oczy widzą tylko zarysy stojących wozów. Okrzyki nie milkną, przeciwnie, na lewo pod budką jest teraz zgiełk. Głośny, jak gdyby wielu ludzi usiłowało przekrzyczeć się wzajemnie.

Tak to właśnie miało wyglądać. Wysoka, barczysta postać w szarym kombinezonie wypełnia sobą całą przestrzeń pomiędzy platformą i daszkiem. Tylko uśmiech gościa, wprawdzie zaskoczonego gorącym przyjęciem, ale przyzwyczajonego do objawów entuzjazmu, jest ludzki. Reszta: kombinezon, hełm, pas z dużym czarnym Coltem, nawet aparat fotograficzny — to to samo, co pancerz czołgu i srebrnobiały kadłub bombowca. Płaszcz potęgi; pewność i łatwość zwycięstwa. Paradoks walki z wiadomym wynikiem. Jeszcze tu, parę kilometrów za nami jest wróg, ale jego los jest już znany ludziom, w imieniu których wita nas wysoki żołnierz w szarym kombinezonie.

A reszta dnia, to tylko nieustanny gwar. Gdy czoło kolumny zatrzymało się przed obozem, jakiś samochód niemiecki pojawił się na wysokości bramy. Dwaj szaleńcy z pistoletami; a może nie wiedzieli? Parę strzałów z czołgu roznosi samochód na strzępy. Krew zabitych oznaczy tę kartkę kalendarza czerwonym kolorem. Jak każde święto. Na placu, w blokach wszyscy mówią. Bezładnie, głośno opowiadają swoje wrażenia. Za drutami ciągły warkot motorów. Chyba już dwie dywizje przeszły, a końca jeszcze nie widać.

Co chcemy zagłuszyć my wszyscy, którzy mówimy, krzyczymy, śpiewamy, wciąż jeszcze wiwatujemy na dachu? Niepewność jutra? Nie, to przyjdzie później.

Dzisiaj jest radość i święto.

WIEDZA I POSTĘP

Ostatnie poglądy na budowę atomu

Model atomu opracowany przez Rutherforda nie spełnił postawionych mu warunków. Zgodnie bowiem z pojęciami fizyki XIX wieku, atom taki powinien stale promieniować, a wobec tego tracić energię. Wskutek tego elektrony, zamiast poruszać się po orbitach, zbliżałyby się stale po spirali do jądra atomu, a układ planetarny nie mógłby istnieć. Należało rozwiązać całe to zagadnienie inaczej.

Niels Bohr (ur. w r. 1885) opierając się na ideach podanych przez Rutherforda oraz na idei o niepodzielności drobnych cząsteczek energii (teoria kwantów), głoszonej przez Plancka, zbudował nową teorię atomu. Była ona nie tylko sama w sobie dziełem klasycznym, ale posłużyła za podstawę budowy fizyki nowoczesnej. Ta epokowa teoria została ogłoszona w 1913 r.

Według niej atom wodoru, podobnie jak u Rutherforda, składać się miał z małego, ciężkiego, dodatnio naładowanego jądra. Bohr, odcinając się od fizyki klasycznej, wyjaśnił, że w atomie elektron może bez promieniowania, a więc tracenia energii, poruszać się tylko po pewnych, określonych orbitach. Te określone stany, związane z odpowiednimi orbitami oraz ilością zawartej w atomie energii, nazwał stanami ustalonymi. Stanem normalnym atomu określił on stan, w którym orbita elektronu jest — w danym systemie — możliwie najmniejsza. Poza tym przyjął on, że wodór w stanie gazowym w warunkach normalnych, nie podgrzewany ani w inny sposób nie podniecany, posiada wszystkie atomy w stanie normalnym. Bohr założył następnie, że jeżeli na te atomy działa energia promieniowania, to znaczy, że albo oddają albo też przyjmują energię, to zachowują się one zgodnie z teorią Plancka. Mogą przyjmować lub wydzielać energię jedynie w określonych dawkach, zwanych kwantami.

Gdy określona dawka czyli kwant energii zostaje pochłonięta przez atom a zawarta w nim ilość energii wzrasta, elektron przeskakuje na jedną z większych orbit.

Przeskok elektronu niekoniecznie musi się odbywać z jednej orbity na kolejną większą lub mniejszą. Może odbywać się on od razu przez kilka kolejnych orbit, np. z pierwszej na czwartą, lub z szóstej na drugą. Kwanty energii mogą więc być różne co do wielkości.

Arnold Sommerfeld w 1916 r., dla wytłumaczenia stanu energetycznego ciał stałych, przyjął, że orbity nie są kołowe, a eliptyczne. Wobec tego stan energetyczny atomu jest określony nie jedną, a dwiema liczbami kwantowymi.

Dla atomów o większych liczbach atomowych, czyli o większej ilości elektronów, wprowadził Bohr pojęcie warstw czyli powłok elektronowych. To znaczy, że elektrony poruszają się po powierzchniach orbitoid o różnym promieniu. Im więcej elektronów, tym więcej warstw. W każdej warstwie porusza się pewna ściśle określona ilość elektronów.

Sprawa budowy atomów coraz bardziej zaczęła się komplikować, szczególnie w odniesieniu do atomów o większych liczbach atomowych. I tak atom, ta według niedawnych pojęć najprostsza i już niepodzielna cząsteczka materii, odrębna dla każdego pierwiastka, okazała się obecnie wcale nie prostą i wcale nie odrębną. Atom jest najbardziej skomplikowanym tworem natury martwej. Najtrudniejsze i najbardziej zawiłe wzory matematyczne, jakie wytworzył kiedykolwiek intelekt ludzki, są zbyt proste i niedoskonałe, aby oddać mogły strukturę atomu. Ponieważ rozwój fizyki wymaga właściwej równowagi pomiędzy metodami wypracowanymi przez czysty intelekt z założeń spekulatywnych, a metodami otrzymywanymi z pomiarów i obserwacji, wszystkie te wyniki z obliczeń matematycznych należało poprzeć doświadczalnie. Trzeba było do budowy wzorów matematycznych atomu wprowadzać takie jednostki wielkości, które dałyby się pomierzyć. Sądzono, że to uprości całą sprawę. Stało się odwrotnie. W czasie przeprowadzania doświadczeń okazało się, że ilość składowych elementów wzrosła.

Atom Rutherforda i Bohra składał się z naładowanego dodatnio jądra i ujemnych elektronów. Ale doświadczalnie stwierdzono, że w skład jądra wchodzą dwa rodzaje cząsteczek. Jedne z nich, takie same jak jądro zwykłego wodoru z elementarnym ładunkiem elektrycznym zwane protonami (symbol p), oraz inne o takiej samej masie, ale bez ładunku elektrycznego, zwane neutronami (symbol n). A dalej odkryto, że oprócz wodoru zwykłego istnieje wodór o podwójnym i potrójnym ciężarze atomowym, tzn. deuterium (symbol D) i triterium (symbol T). Jądro o podwójnym ciężarze atomowym składa się z protonu i neutronu złączonych razem, zaś o potrójnym ciężarze z protonu i dwóch neutronów.

Jądra poszczególnych pierwiastków składają się z pewnej kombinacji protonów i neutronów. Następnie przy badaniu niektórych pierwiastków wykryto cząsteczki elektryczne równe co do masy i wielkości ładunku — elektronowi, lecz o rodzaju elektryczności dodatnim. Nazwano je positronami. Oprócz tego przy badaniach sztucznego promieniowania niektórych pierwiastków, Pauli i Fermi doszli do przekonania, że w jądrach atomów promieniotwórczych muszą być jeszcze innego rodzaju cząsteczki — o masie elektronu, ale bez ładunku elektrycznego. Nazwano je neutrino. Istnienie ich zostało następnie potwierdzone doświadczalnie. O rodzaju pierwiastka decyduje zawsze i jedynie ilość protonów w jego jądrze, czyli wielkość ładunku dodatniego jądra. Dodatni ładunek elektryczny jądra wodoru (protonu) nazywa się ładunkiem elementarnym. Według dzisiejszych poglądów ładunek ten jest niepodzielny.

Ciężar jądra wodoru, a więc protonu, jest ciężarem jednostkowym wagi atomu poszczególnych pierwiastków.

Ogólna ilość protonów i neutronów w jądrze decyduje o ciężarze atomowym, czyli stosunku ciężaru danego pierwiastka do ciężaru zwykłego wodoru.

Ilość neutronów w jądrze danego pierwiastka może być różna, a więc ciężary poszczególnych atomów tego samego pierwiastka mogą się różnić. Atomy danego pierwiastka o różnych ciężarach nazywają się izotopami.

Izotopy, mimo, że pod względem fizycznym zachowują się różnie, chemicznie są jednak tymi samymi pierwiastkami.

Atom jest w pełni pojęciem abstrakcyjnym. Wyobrażenia w tym zakresie dla przeważającej większości ludzi są bardzo trudne. Toteż wygodniej przenieść się z wymiarów atomu do wymiarów, w których obracamy się w życiu codziennym. Gdybyśmy powiększyli atom dziesięć milionów razy, to wówczas przedstawiłby się on oczom naszym jako piękny mechanizm, cudna zabawka. Jeśliby to był atom wodoru, to naokoło jądra krążyłby jeden elektron po orbicie eliptycznej w odległości około 5 m. od jądra. Średnica jądra protonu wynosiłaby 1 mm, a średnica elektronu kilkadziesiąt milimetrów. Reszta przestrzeni nie byłaby wypełniona niczym materialnym. Nawet gdyby to był atom jednego z najgęstszych pierwiastków — złota, to wtedy jądro zajmowałoby około 0,2 cm sześc. a naokoło niego krążyłyby — po różnych orbitach, o promieniu kilku metrów — 79 elektronów. Ogólna objętość cząsteczek materialnych nie przekraczałaby 1 m sześc., a przestrzeń w której by się one poruszały, wynosiłaby około 1000 m sześc. Z tego widzimy, że każde ciało, nawet najgęstsze, jest w rzeczywistości próżnią materialną, wypełnioną gdzieniegdzie drobną cząsteczką, tak jak przestworza wszechświata są usiane gwiazdami czy planetami.

Inż. A. Gag

ODBUDOWA ZABYTKÓW w STOLICY

SYMBOLE WARSZAWY

Rzadko kto odwiedza dzisiaj Plac Zamkowy w Warszawie, jeszcze rzadziej Nowy Zjazd. Szyny tramwajowe na tej ulicy są zerwane, a dalej, na przeciw wylotu stromego Mariensztadtu, wiadukt Nowego Zjazdu kończy się przepaścią. Ta najruchliwsza przed wojną arteria, wiodąca przez żelazną klatkę mostu Kierbedzia na Pragę, jest dziś najbardziej martwą ulicą, gdzie na środku jezdni rośnie trawa.

Los Nowego Zjazdu jest prawie przesądzony, podobnie jak los mostu Kierbedzia. Zlikwidowanie nasypu i wiaduktu otworzyłoby perspektywę na Zamek Królewski, który ma być odbudowany. Na razie przystąpiono do odbudowy zamkowej bramy i fragmentów murów. Zamek Królewski i kolumna Zygmunta to dwa nieodłączne symbole Warszawy. Nie można sobie wprost wyobrazić stolicy bez Zamku i kolumny. Jak wiadomo kolumna jest zupełnie zdruzgotana. Ale prawie wszystkie jej części leżą dotychczas na Placu Zamkowym. Postać króla Zygmunta została podobno zabezpieczona. Dopóki te rozbite części nie zostaną zebrane, dopóki kolumna nie zostanie „sklejona", podobnie jak pomnik Kopernika, który już stoi na dawnym miejscu — Warszawa nie odzyska swego dawnego charakteru.

KOŚCIOŁY I DOMY ZABYTKOWE

W Warszawie zawiązał się komitet katolickich studentów, który postanowił odbudować kościół akademicki św. Anny. Kościół ten, wzniesiony w r. 1450, jest najstarszym kościołem Warszawy. W r. 1928 oddany został studentom jako kościół akademicki. W czasie powstania Niemcy zburzyli go częściowo. Obecnie pokryto kościół prowizorycznym dachem i rozpoczęto roboty rekonstrukcyjne. Szczytowa ściana, znajdująca się nad organami, która runęła podczas zeszłorocznego huraganu, została już na nowo wzniesiona.

Do użytku wiernych został już oddany kościół WW. Świętych. Jest to chyba największy kościół w Polsce. Przed wojną 10.000 wiernych mogło się w nim wygodnie pomieścić. We wrześniu 39 r. świątynia została częściowo uszkodzona bombami lotniczymi i pociskami artyleryjskimi. Podczas powstania kościół został zburzony prawie kompletnie, a mury niemal do fundamentów zwalone. Dzisiaj nad jedną trzecią kościoła wznosi się już trwały dach. Całkowicie odbudowana została kaplica Matki Boskiej. W chwili obecnej górny kościół pomieścić może ponad 2.000 wiernych.

„Dziekanka", zabytkowy budynek na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, jest odbudowywana na koszt ziemi Krakowskiej. Na Dziekance układa się obecnie wiązania dachowe.

Pałac Potockich, na wprost Uniwersytetu, przeznaczono na siedzibę Ministerstwa Kultury i Sztuki.

PROKATEDRA WARSZAWSKA

Z powodu całkowitego zburzenia Katedry św. Jana do godności prokatedry wyniesiony został kościół św. Józefa na Krakowskim Przedmieściu, który prawie w całości ocalał. Tak samo budynki klasztorne OO. Karmelitów zostały nienaruszone.

Katedra św. Jana już w czasie wojen szwedzkich została częściowo zburzona. Wtedy to po raz pierwszy kościół Karmelitów Bosych uznany został za prokatedrę. W r. 1705 król Stanisław Leszczyński i szwedzki Karol XII podpisali w nim uroczysty akt przyjaźni między Polską a Szwecją. Podczas walk powstańczych kościół św. Józefa połączony był z miastem wieloma podziemnymi tunelami i odegrał ważną rolę w nawiązywaniu łączności między poszczególnymi oddziałami.

Kościół św. Aleksandra

W r. 1939 — Obecnie

KRONIKA LITERACKA

„Na miarę człowieka"

Kilkakrotnie omawiana już na łamach „Orła Białego" głośna książka Leona Bluma pt. „A l'Echelle humaine" ukazała się obecnie w polskim przekładzie p.t. „Na Miarę Człowieka" nakładem Instytutu Literackiego w Rzymie, jako tom zapoczątkowanej Biblioteki Społeczno-Politycznej.

Wydawnictwo to daje możność czytelnikowi polskiemu zapoznania się z pełnym tekstem tej interesującej pracy, która stanowi jeden z najnowszych i najbardziej miarodajnych wykładów ideologii tzw. humanistycznego socjalizmu. Książka ta w wydawnictwie polskim liczy 139 stron i zaopatrzona jest w szereg przypisków tłumacza.

Kto jest największym żyjącym pisarzem francuskim?

Znany tygodnik francuski „Gavroche" przeprowadził wśród szeregu pisarzy, krytyków i dramaturgów ankietę na temat, kogo uważają za największego żyjącego pisarza francuskiego. Szereg osób, do których się zwrócono, wymówiło się od dania odpowiedzi. Wśród nich były dwie popularne dziś we Francji pisarki pp. Colette, która jest chora, i Simone de Beauvoir, znana egzystencjalistka. Inni uczestnicy ankiety najczęściej wymieniają nazwiska Gide'a i Claudela. Poza tym wspomniani byli następujący pisarze: Malraux, Bernanos, Colette, Cendras, Chamas, Ramuz i Jouhandeau. W ankiecie brali udział Charles Plisnier, Pierre Emmanuel, Marcel Achard, Armand Salacrou, Jean Guehenno, René Lalou, Jean Poulhan, Julien Benda. Oprócz wspomnianych pisarek wymówili się od udziału Jean Schlumberger, Albert Camus, Raymond Queneau, Roland Dorgeles, Roger Vaillant i Fernand Gerth. Ankietę prowadził Julien Teppe.

Co czyta Ameryka

W Ameryce przeprowadzono ankietę wśród księgarń waszyngtońskich w celu ustalenia, jakie książki są najwięcej czytane i które z nich cieszą się największym powodzeniem. Ankieta ta odbyła się w związku z zakupami książek na gwiazdkę i dała dość niespodziewane wyniki.

Okazało się bowiem, że najbardziej poszukiwanymi książkami w stolicy Stanów Zjednoczonych A. P. nie są bynajmniej powieści, ale książki o tematach politycznych, życiorysy i książki poruszające zagadnienia aktualne. Największym powodzeniem cieszyła się więc książka p.t. „Roosevelt taki, jakim go znałam" napisana przez panią Francis Perkins, która przez długie lata była amerykańskim ministrem pracy. Drugie miejsce zajął reportaż Johna Hersey'a o losie Hiroszimy. Trzecie miejsce zajęły cieszące się jednakowym powodzeniem dwie książki, a mianowicie Teodora White i A. Jacoby p.t. „Burza przyszła z Chin" oraz studium Charles Bearda o polityce amerykańskiej. Wśród wielu nabytych życiorysów dużym wzięciem cieszyła się książka Henri Troyat p.t. „Życie Dostojewskiego".

„Polacy nie gęsi też swój język mają"

Ach jak to przyjemnie, gdy się odkryje, że słowo, które się posądzało o obcość, okazuje się najszczerzej polskie. Tak właśnie ma się rzecz ze słowem „granica". Nie występowaliśmy przeciwko temu słowu zgoła w naszym artykule pod powyższym tytułem w n-rze 5 „Orła Białego", uważając je za należące do języka polskiego, ale przypuszczając, że pochodzi od słowa niemieckiego „Grenze". Tymczasem jest znacznie lepiej! Nie my od Niemców, ale Niemcy od nas wzięli to słowo. Oto bowiem co pisze Aleksander Brueckner w „Słowniku Etymologicznym" na str. 155 (wyd. z roku 1927, Kraków):

„GRAŃ, „granica" „róg, krawędź, gdzie się stykają dwie płaszczyzny", *graniasty, czworograniasty, czworogranny, granowity,* (słynna *granowitaja pałata* w Kremlu Moskiewskim); *granica, graniczny, granicznik, graniczyć;* to pożyczył Zakon Pruski od Polaków, a Luther ostatecznie przyjął *(Grenze, Grenzer, begrenzen).* I grań i granica prasłowa; oznaczają „węgiel", „stos usypany, na węglach dziedzin", u nas *a* przed *ń* miesza się z *o*, *ó* stąd narzeczowe podhalańskie *groń, gruń,* dla „góry", „szczytu", „polany" i pierwotne znaczenie wszelakiej „spiczastości", „itd"

Tyle A. Brueckner: Niech żyje wobec tego polskie słowo granica.

A. T.

Odpowiedzi redakcji

Mjr Wojciech Pohoski, 4 Camp Blackshaw Moor Leek Staffs — Dziękujemy bardzo za życzliwe słowa. Podzielamy Pana ubolewanie, ale w danym wypadku nie chcielibyśmy wszczynać polemiki.

Stanisław G., Russee über Kiel, Niemcy. — Nie skorzystamy.

G. M. — Temat zbyt zdeaktualizowany. Nie zamieścimy.

SPROSTOWANIE

W numerze 4. „Orła Białego" z dnia 28. stycznia 1947 roku w felietonie Tadeusza Nowakowskiego pt.: „Listy z Londynu", w szeregu obrazków i migawek z Londynu została poruszona sprawa wystąpienia p. Cata (Stanisława Mackiewicza) na pewnej konferencji prasowej w Londynie. Dowiadujemy się jednak, że ten ustęp felietonu p. Nowakowskiego nie był ścisły, a ponieważ chodziło tu o konferencję prasową, której pewne momenty miały charakter ściśle poufny i koleżeński — ograniczamy się do niniejszego stwierdzenia.

W perspektywie tygodnia: Przesilenie w Anglii

(t) Przesilenie w Anglii osiągnęło niebywałe rozmiary. Cała prasa angielska i światowa pełna jest wiadomości i opisów, z których wyłania się obraz jak najbardziej ponury. Brak węgla, a co za tym idzie, gazu i elektryczności pogrążył cały kraj w ciemnościach, w nieopisanym zimnie i w bezrobociu. Fabryki stają, bo nie mają czym opalać maszyn, albo nie mają prądu elektrycznego. Ludzie w mieszkaniach marzną w ciemnościach, przed biurami urzędów dla bezrobotnych stoją ogonki robotników, pozbawionych pracy w skutek zamknięcia fabryk. Liczbę ich oblicza się już dzisiaj na 5 milionów. Na mglistym, ciemnym i mroźnym nieboskłonie zarysowało się, jak stwierdza prasa, widmo katastrofy. Liczne linie kolejowe są nieczynne z powodu zasypania ich [illegible].

Taki stan rzeczy wywołał rzecz prosta niezwykłe naprężenie polityczne. Angielska prasa opozycyjna nie oszczędza oczywiście rządu. Prasa rządowa usiłuje rząd tłumaczyć, zwalając winę na mrozy i niezwykle ostrą zimę. W umysłach całego narodu angielskiego pojawia się jednak świadomość, że coś nie jest w porządku. Konserwatyści uderzyli całą siłą w system socjalistyczny wprowadzany w Anglii przez rząd Labour Party. Winston Churchill w gwałtownej mowie w Izbie Gmin zawołał:

„Musimy wyciągnąć wniosek, że socjalizm oznacza zły zarząd, brak kompetencji i powolne wyrodnienie naszego wyspiarskiego życia."

Nie dosyć na tym. Oświadczył on dalej, mówiąc o trudnościach jakie napotkało zatrudnienie Polaków w kopalniach węgla, że gdyby był za to odpowiedzialny 180 tysięcy Polaków wraz z ich rodzinami byłoby poszło do Niemiec jako armia okupacyjna — z daleka od granic rosyjskich lub polskich, a wówczas byłoby 150 — 180 tysięcy Anglików więcej w kraju do pracy w przemyśle. Pomysł ten jednak został odrzucony przez krytykę powierzchowną i krótkowzroczną.

Nie tylko jednak opozycja atakuje system socjalistyczny, w czym ostatecznie nie byłoby nic dziwnego. Ważniejszym jest, że w łonie kół rządzących jasno zarysowała się świadomość, że przesilenie postawiło istnienie socjalizmu w Anglii pod znakiem zapytania. Jeden z przywódców Labour Party oświadczył:

„Jeżeli socjalizm nie zabije biurokracji, biurokracja zabije socjalizm."

Churchill w Izbie Gmin stwierdził — a cała Izba słuchała tych słów z niepokojem — że w czerwcu 1939 Anglia miała 539 tysięcy urzędników w służbie państwowej, a w listopadzie 1946 r. było ich dwa razy tyle, i że ta armia urzędnicza nie zdołała zorganizować planu rozdziału energii elektrycznej i węgla dla przemysłu.

Najzupełniej jasno postawił sprawę sir H. Shawcross, członek Labour Party. Przemawiając w St. Helens na temat kryzysu opałowego w W. Brytanii, oświadczył on między innymi co następuje:

„Nie chodzi tu o sprawę upadku rządu labourzystowskiego lub socjalizmu. Niewątpliwie, jeśli nie uda nam się opanować sytuacji i zwiększyć wydobycia węgla, rząd Labour Party upadnie i nie będzie mogło być więcej mowy o krzewieniu idei socjalistycznej w obecnych czasach.

„Ale idzie o sprawę dużo ważniejszą. Zagrożona jest cała pomyślność kraju i wszystko zależy od poszczególnych jednostek.

„Musimy ponieść ofiary. Musimy pracować w naszych urzędach w paltach. Musimy pracować w fabrykach bez ogrzewania nie zdejmując palt."

Nie ulega wątpliwości, że Anglia znalazła się dzisiaj w położeniu, które sam premier Attlee w przemówieniu radiowym do narodu angielskiego określił jako niezwykle ciężkie. Nawołuje on naród angielski do wspólnego wysiłku „tak, jak uczynił on to podczas wojny". „Przeszliśmy — mówił premier Attlee — chwile bardziej trudne, niż obecna, i tym razem jeszcze, gdy każdy się do tego przyczyni, przezwyciężymy wszystkie dziesiejsze trudności."

Trzeba jednak stwierdzić, że obecnie w dwa lata po zakończeniu wojny naród angielski przechodzi na prawdę niezwykłą próbę wytrzymałości. Na konferencji prasowej w Londynie w dniu 12 lutego br. przedstawiciel ministra Shinwell'a, najbardziej dzisiaj atakowanego członka rządu, przyznał, że publiczność „maszeruje" znacznie słabiej niż w pierwszych dniach i że zaczyna nie słuchać nakazów. „W rzeczywistości — pisze jeden z korespondentów belgijskich z Londynu — publiczność marznie, jest bezrobotna i wściekła".

Nie można się temu dziwić. Jednak publiczność angielska dała już w przeszłości tyle dowodów wytrzymałości i karności obywatelskiej, że zapewne i tym razem ostatecznie poczucie to zwycięży. Rzecz inna, że jeżeli chodzi o wewnętrzne stosunki polityczne, przesilenie dziesiejsze wywrze niewątpliwie wpływ na ich rozwój.

Podpisanie traktatów z satelitami Niemiec

(t) W poniedziałek dnia 10 lutego podpisane zostały w Paryżu w Zegarowej Sali na Quai d'Orsay traktaty pokojowe z Włochami, Rumunią, Bułgarią, Węgrami i Finlandią. Ze strony sojuszników podpisywały tylko te kraje, które były w stanie wojny z poszczególnymi państwami. Francja i delegaci Warszawy podpisali traktat tylko z Włochami, z którymi poza tym podpisało go jeszcze 19 innych państw. Traktat z Rumunią podpisało 11 państw, z Węgrami i Bułgarią 12 państw, z Finlandią 10.

Znamieniem charakterystycznym złożonych w poniedziałek podpisów są protesty, jednocześnie zgłoszone przez zwyciężone państwa. Jedynie Finlandia podpisała bez zastrzeżeń. Z państw sprzymierzonych protestowała również Grecja, a Jugosławia dopiero w ostatniej chwili zdecydowała się na podpis, wysuwając w osobnej nocie doręczonej min. Bidault a przeznaczonej dla czterech wielkich mocarstw, ostre zastrzeżenia. Dotyczą one zajętego stanowiska Jugosławii w sprawie Triestu, która to sprawa, jak wiadomo, była jednym z głównych punktów spornych podczas przewlekłych rokowań pokojowych i przedmiotem zaciętej walki między Rosją i Anglosasami. Nota jugosłowiańska stwierdza m. in., że:

„Rząd Ludowej Związkowej Rzeczypospolitej Jugosławii pragnie jednakże oświadczyć, że przez podpisanie tego traktatu narody Jugosławii w żadnym wypadku nie wyrzekną się obszarów, które narodowościowo do niej należą i których traktat pomimo to je pozbawia, i że nie zaprzestaną podtrzymywać swoich praw do tych obszarów, jakiekolwiek byłyby w przyszłości ewentualne zmiany narodowościowe wynikające z obecego panowania."

Ze swej strony Włochy, podpisując ogłosiły również notę protestującą, stwierdzając, że traktat może uzyskać znaczenie obowiązujące dopiero po ratyfikacji go przez konstytuantę, która to ratyfikacja znajduje się pod znakiem zapytania, i zaznaczyły, że spodziewają się w czasie pomiędzy podpisaniem a ratyfikacją, jak oświadczył premier de Gasperi na posiedzeniu konstytuanty, ze strony sprzymierzonych „zapewnienia, że traktat zostanie zrewidowany, względnie niektóre jego postanowienia złagodzone, albo też przyrzeczeń w sprawie kolonii i roszczeń Włoch w stosunku do Niemiec". Należy wobec tego stwierdzić, że właściwie wszystkie państwa, z wyjątkiem państw anglosaskich i Francji — bo Rosja popierająca marsz Tito jest zawsze niepewna — podpisały traktat z takimi jawnymi zastrzeżeniami, iż w każdej chwili całe zagadnienie postanowień traktatów może znowu wyłonić się na powierzchnię życia politycznego.

W ten sposób podpisy, zamiast stać się punktem wyjścia dla uspokojenia świata, pozostawiają raczej niepokój i niepewność, i to tym większe, im większe przeciwieństwa istnieć będą nadal w łonie trzech wielkich mocarstw: Ameryki, Anglii i Rosji. Są one rodzajem plastra, przyleplonego na ranę, którą pozostawia się umyślnie otwartą. Bywało co prawda już nieraz, że podpisywano traktat pokojowy z wewnętrznym zamiarem obalenia go przy pierwszej sposobności. Ale zamiar ten na zewnątrz przynajmniej mniej lub więcej starannie tajono. Tak uczyniły Niemcy w roku 1918 rozpoczynając otwartą akcję rewizyjną dopiero po jakimś czasie. Jest jednak zupełnie swoistą nowością, ażeby przy podpisywaniu traktatów zgłaszano jednocześnie niedwuznacznie zamiary niedotrzymania ich. Niczego innego bowiem nie oznaczają w gruncie rzeczy wymienione protesty.

Ameryka przed konferencją moskiewską

(ss) W obecności stu dziennikarzy gen. Marshall udzielił pierwszych autorytatywnych wyjaśnień, na podstawie których już dość wyraźnie zarysowywuje się plan jego politycznej działalności, jako ministra spraw zagranicznych St. Zjednoczonych.

Z poprzednich wiadomości, podawanych w prasie amerykańskiej wynikało, że Stany Zjednoczone w kilku najważniejszych sprawach będących głównym przedmiotem napięcia stosunków rosyjsko-amerykańskich poczyniły pewne nieznaczne ustępstwa, któreby [illegible] Moskwie wycofanie się z jej dotychczasowego stanowiska. Pojawiły się już w niektórych pismach pogłoski, jakoby znanosiło się na jakieś głębsze nowe porozumienie z Rosją. Tymczasem z oświadczenia gen. Marshalla wynika, że bynajmniej tak nie jest. Stworzono wprawdzie atmosferę gotowości do porozumienia, mimo to jednak Stany Zjednoczone nie wyrzekają się prowadzenia w dalszym ciągu zdecydowanej polityki, którą gotowe są poprzeć w razie potrzeby siłą.

Ten ostatni fakt gen. Marshall podkreślił na pierwszym miejscu swego wywiadu prasowego. Były szef sztabu amerykańskiego z jeszcze większym naciskiem, niż to zrobił jego poprzednik na stanowisku sekretarza stanu tłumaczył swoim tłumaczom i swojemu społeczeństwu, że dopóki Stany Zjednoczone nie wprowadzą powszechnego przymusu wojskowego, dopóty nie będą [illegible] rzeczywistej wojskowej siły, [illegible] poprzeć politykę zagraniczną. [illegible] Marshall oświadczył, że dopóki [illegible] nowy o rozbrojeniu, [illegible] związane wszystkie zagadnienia [illegible] pokoju. Innymi słowy gen. [illegible] poparł całkowicie stanowisko zajęte [illegible] sprawie przez amerykańskiego delegata w Radzie Bezpieczeństwa, Warren R. Austina.

Poparł on również [illegible] zasadę tzw. dwupartyjnej polityki, [illegible] ponadpartyjnej polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, potwierdzając oświadczenie republikańskich senatorów Vandenberga i [illegible] Millkina, domagających się rozciągnięcia zasady dwupartyjności amerykańskiej polityki zagranicznej i na międzynarodowe zagadnienia gospodarcze.

Już z zestawienia powyższych faktów wynika, iż na moskiewskiej konferencji Marshall bynajmniej nie wyrzekało się dalszego nacisku na Rosję, jeśli ona nie skorzysta z formułowanych przyjaznych gestów, jakie niewątpliwie pod jej adresem zrobiono.

POSUNIĘCIA W CHINACH

Niektórzy publicyści uznali za taki najbardziej przyjazny gest pod adresem Moskwy stanowisko Marshalla zajęte w sprawie chińskiej. Jak wiadomo, oświadczył on, iż rząd Stanów Zjednoczonych wycofuje z Chin swoje wojsko i wyrzeka się pośrednictwa pomiędzy Chinami Czang Kai Szeka i chińskimi komunistami. Uznano to może zbyt pochopnie za przyjęcie przez Marshalla linii postępowania, wysuwanej wielokrotnie przez filo-rosyjskie koła amerykańskie. Jest to ocena powierzchowna z tego powodu, iż obecna decyzja Marshalla przychodzi w całkiem innej sytuacji międzynarodowej, po zdecydowanym wmieszaniu się Stanów Zjednoczonych w sprawy Środkowego Wschodu oraz w sprawy europejskie. Do tego Marshall, wbrew opiniom brytyjskiej, rosyjskiej i australijskiej, wypowiedział się za podtrzymaniem propozycji Stanów Zjednoczonych oddania dawnych mandatowych wysp japońskich pod „strategiczne powiernictwo" Stanów Zjednoczonych. W tych warunkach wycofanie się Amerykanów z kontynentu azjatyckiego, oczywiście tylko w rozumieniu wojskowym, wytrąca z rąk Stalina propagandowy argument, jakoby obecność wojsk amerykańskich w Chinach była powodem głównym naprężenia stosunków rosyjsko-amerykańskich (powiedział to Stalin do Elliotta Roosevelta), bynajmniej jednak nie oznacza osłabienia pozycji amerykańskiej na Dalekim Wschodzie.

SPRAWA POLSKA

Gen. Marshall w wywiadzie swoim, poruszył również zagadnienie polskie, podając oficjalnie do publicznej wiadomości wezwanie do Waszyngtonu ambasadora Arthura Bellis Lane, dla złożenia raportu o przebiegu wyborów. Amerykański podsekretarz stanu podejmuje zagadnienie Polski w przeddzień konferencji moskiewskiej nie tylko ze względu na zobowiązania amerykańskie wynikające z traktatów jałtańskiego i poczdamskiego.

Na innym miejscu dzisiejszego numeru „O. B.", w osobnym artykule zwracamy uwagę na związek pomiędzy zagadnieniem zachodniej granicy Polski na Odrze i Nysie z zagadnieniami tzw. „strategicznych baz amerykańskich". Zainteresowanie sprawą polską przez dyplomację amerykańską jest w obecnej chwili między innymi również następstwem coraz bardziej utrwalającego się przekonania, że sprawa polska może być przez tę dyplomację wygrana dla całkiem nieuchwytnych celów polityki amerykańskiej. Byłoby jednak rzeczą dla Polski niekorzystną, gdyby Amerykanie, zarówno ze względów na plany amerykańskie w stosunku do Niemiec, jak i do innych obszarów, będących przedmiotem głównego zainteresowania polityki amerykańskiej, wystąpili w Moskwie z żądaniem rewizji polskich granic na Odrze i Nysie. Mógłby o tym świadczyć omawiany w prasie projekt Roberta Murphe'go, członka zarządu amerykańskiej okupacji w Niemczech, który wypowiada się za oddaniem części zachodnich obszarów s powrotem Niemcom. Przy Polsce miałaby pozostać większa część Śląska (bez Wrocławia), Prusy Wschodnie i część wschodnia Prus Zachodnich, oczywiście bez Szczecina. Przeciwko temu pomysłowi wypowiada się zdecydowanie cała opinia polska, rozumiejąc iż urzeczywistnienie tego planu oznaczałoby nie tylko nowe przesunięcie Polski, połączone z nową tragedią wielkiej masy społeczeństwa polskiego, rzuconego już raz bezlitosną decyzją jałtańską na obszary nadodrzańskie, ale także poważne odnowienie potęgi Prus, głównego źródła niemieckiego imperializmu.

Sądzimy, iż gen. Marshall nie dopuści do tego nowego eksperymentu i znajdzie inny sposób rozstrzygnięcia i uregulowania doniosłych problemów międzynarodowych, bez handlowania interesami narodu polskiego.

OPOZYCJA SENATORA TAFTA

Stanowczość i ciągłość polityki amerykańskiej zapowiedziana przez gen. Marshalla w jego wywiadzie z dziennikarzami natrafia jednak na pewne trudności ze strony poważnej grupy posłów republikańskich, na czele których stoi wpływowy senator Taft.

Taft sprzeciwia się wyrażaniu zgody na międzynarodową ekonomiczną współpracę, twierdząc, iż jest rzeczą niemożliwą, aby republikanie przedłużyli ważność „aktu o wzajemnych traktatach handlowych". „Akt" ten stanowi podstawę dla wzajemnego zlikwidowania barier celnych przez 18 państw, które zbierają się w Genewie w kwietniu br. na konferencję dla ustalenia zasad Miedzynarodowej Organizacji Handlowej. Innymi słowy senator Taft rezygnuje z amerykańskiego odosobnienia politycznego, natomiast wypowiada się za amerykańskim odosobnieniem gospodarczym. Przeciwko propozycjom Tafta wypowiedział się senator Vandenberg i jak już wspomnieliśmy, gen. Marshall. Ten konflikt w łonie partii republikańskiej kładzie swój cień na zagraniczną politykę amerykańską i mogą z tego powodu wyniknąć pewne komplikacje.

Komuniści przeciwko sojuszowi francusko-angielskiemu

(t) Dnia 6 bm. biuro polityczne Francuskiej Partii Komunistycznej powzięło uchwałę, ogłoszoną w prasie, w sprawie sojuszu francusko-angielskiego następującej treści:

„Biuro polityczne, odnosząc się przyjaźnie do zawarcia takiego traktatu, uważa, że należy jednak uregulować różnice, które istnieją między Francją a Anglią i to zwłaszcza w sprawie zagadnienia niemieckiego. Podpisanie sojuszu francusko-angielskiego, zanim ureguluje się te zagadnienia, i zanim uzyska się zapewnienie w sprawie wzmożenia dostarczenia węgla z Ruhry, kontroli między sojuszniczej jak najbardziej ostrej Zagłębia Ruhry i bezpieczeństwa naszych granic doprowadziłoby do pozbawienia Francji poważnych środków działania w późniejszych rokowaniach, zmierzających do uregulowania spraw niemieckich."

Uchwała ta wywołała nie tylko we Francji, ale i w Londynie zrozumiałe poruszenie. Koła polityczne angielskie łączą ten nagły zwrot z niedawnymi krytykami, które pojawiły się w Rosji na temat projektu sojuszu francusko-brytyjskiego. Koła oficjalne angielskie — powiada Reuter — zadają sobie pytanie, czy uchwała Partii Komunistycznej nie wywoła przesilenia rządowego we Francji o tyle, iż „mogłaby zmusić rząd francuski do zmiany polityki, którą jego ministrowie dotychczas uznawali."

Zaniepokojenie to nie może nikogo dziwić. Być może, że Anglia powie sobie nawet, czy w razie zawarcia sojuszu będzie on miał rzeczywistą wartość, zważywszy wpływ paraliżujący, jaki wywierali i wywierają dotychczas komuniści na każde rządy francuskie. Jak więc będzie wyglądało w danym razie jego wykonanie sojuszu?

Sprawa zawarcia sojuszu, który zresztą w pojęciu obu stron pozbawiony jest najmniejszego zamiaru wymierzonego przeciwko jakiemuś innemu państwu, wypłynęła jak wiadomo na drogę urzeczywistnienia dopiero za krótkich rządów socjalistycznego gabinetu Bluma, aczkolwiek mówi się o nim już od chwili uwolnienia Francji. Chrześcijański demokrata p. Bidault, który po krótkiej przerwie objął dzisiaj znowu tekę ministra spraw zagranicznych, ma opinię polityka bardzo wrażliwego na zdanie Moskwy, i bojącego się posądzenia go o skłanianie się choćby najlżejszego w kierunku tzw. bloku zachodniego, który przez Moskwę mógłby być uważany jako skierowany przeciwko niej. Jest np. rzeczą bardzo charakterystyczną, iż poselstwo francuskie w Warszawie sprostowało skwapliwie notatkę jednej z polskich gazet krajowych, podkreślającą nieobecność ambasadora francuskiego na otwarciu nowopowołanego „sejmu", podkreślając, iż nieobecność ta wynikła wyłącznie z kilkutygodniowej nieobecności ambasadora francuskiego w Warszawie. W ten sposób Francja odsunęła się od kroku ambasadorów angielskiego i amerykańskiego, którzy nie zjawiając się na otwarciu „sejmu", zaznaczyli w ten sposób stosunek swoich państw do wyborów w Polsce.

Uchwała francuskiej Partii Komunistycznej, usiłująca przez wysunięcie zastrzeżeń podważyć podstawę rokowań o zawarcie sojuszu francusko-angielskiego, nie zachęci niewątpliwie ostrożnego p. Bidault do specjalnych wysiłków w tym kierunku. Jeżeli sojusz dojdzie pomimo to do skutku, będzie on wyrazem narastającego w tym kierunku już od dawna ciążenia. Błędem byłoby jednak w tych warunkach przywiązywanie doń jakiegoś specjalnie wyraźnego znaczenia, a już najmniej zajęcia stanowiska przez Francję w istniejącym rozłamie między Wschodem a Zachodem.

Stanowisko komunistów, rzecz prosta, w rozsądnych kołach francuskich wywołało wrażenie niemiłe. Uważają one, że właśnie zawarcie sojuszu ułatwiłoby wygładzenie istniejących dotychczas między Francją i Anglią różnic w poszczególnych sprawach i powiadają słusznie, że chociażby sprawa dostaw węgla z Niemiec nie zależy wyłącznie od Anglii. Stwierdzają one, że przywrócenie normalnego stanu wydobywania węgla na całym świecie i w związku z tym ostateczne zadawalające uregulowanie rozdziału światowego może być zagadnieniem kilku lat. Nie można więc od tego uzależniać rokowań francusko-angielskich.

Z HUMORU AMERYKAŃSKIEGO

Po „wyborach" w Polsce

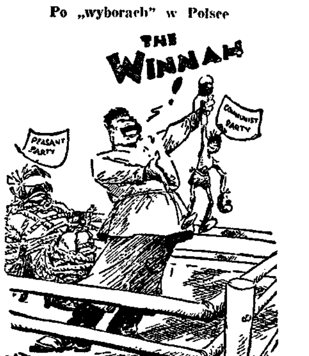

(Zwycięzcą jest cherlawy komunista, w rogu pokonany olbrzym — P. S. L.)

(„N. Y. Herald Tribune")

Łamanie parlamentu węgierskiego

(t) Zdumiewające rzeczy dzieją się na Węgrzech. Jak wiadomo, Węgry były jedynym krajem za „żelazną kurtyną", w których wybory odbyły się w względnej wolności. Sowiety najwidoczniej chciały wybadać, czy przypadkiem nie dadzą one wyników dla nich korzystnych. Tymczasem olbrzymie zwycięstwo odniosło w wyborach tych Stronnictwo Drobnych Rolników, zupełnie niekomunistyczne, aczkolwiek społecznie lewicowe. Odpowiada ono mniej więcej w Polsce Polskiemu Stronnictwu Ludowemu Mikołajczyka.

Sowiety wyciągnęły z tego zwycięstwa wnioski w sprawie wyborów w innych krajach, a zwłaszcza w Polsce. Uważając, że nie jest wygodną rzeczą załatwiać się po wyborach ze stronnictwem, które wykazało siłę, reżym komunistyczny w Polsce z góry terrorem i gwałtem przeprowadził „wybory" swoiste, uzyskując wynik naprzód przepowiedziany.

Myliłby się jednak, kto by sądził, że komuniści pogodzą się z wynikiem swojej pomyłki taktycznej na Węgrzech i pozostawią w spokoju tamtejsze życie polityczne. „Błąd" trzeba oczywiście odrobić. Rozpoczęto więc natychmiast po wyborach przeciwko Stronnictwu Drobnych Rolników gwałtowną nagonkę, używając wypróbowanych oszczerstw i kłamstw. Stronnictwo zmuszono do wyłączenia ze swego łona dwukrotnie źle przez komunistów widzianych posłów. Ostatnia grupa wyrzuconych liczy 21 posłów.

Jednocześnie rozpoczęły się aresztowania, oskarżenia i procesy. Wykryto nagle rzekome „sprzysiężenia" przeciwko rządowi, słowem rozwinięto w całej okazałości znane metody bolszewickie. Kropkę nad „i" postawiono, aresztując w tych dniach generalnego sekretarza Stronnictwa Drobnych Rolników, Belę Kowacza, byłego ministra rolnictwa, którego oskarżono z największym spokojem o czynny udział w rzekomym „spisku kontr-rewolucyjnym". Aresztowanie nastąpiło po odmowie stronnictwa usunięcia Kowacza razem z innymi posłami. Całą tą akcją kieruje ministerstwo spraw wewnętrznych, będące oczywiście w ręku komunistów.

Sprawa jest niezwykle pouczająca. Okazuje się bowiem, że nawet w kraju w którym dopuszczono do jako takich wolnych wyborów, z chwilą, gdy wybory te nie wypadły po myśli komunistów, rozbijają oni z zimną krwią ujawnioną w nich wolę narodu wierni metodzie, zastosowanej już swego czasu wobec konstytuanty rosyjskiej, którą po prostu rozegnali. Nie ulega wątpliwości, że gdyby w Polsce komuniści nie byli użyli wobec PSL gwałtu przed wyborami, byliby oni niechybnie rozpoczęli go stosować po wyborach w razie zwycięstwa Mikołajczyka. Okazuje się raz jeszcze, że nie ma i nie może być żadnych możliwości współpracy z komunistami w atmosferze jakiej takiej wolności. Żaden naród w kraju, na którym ciąży ręka komunistyczna, nie może rozwijać się tak, jak tego pragnie. Gwałt zdławia wolę narodu, albo przed jej ujawnieniem się, albo, gdy przypadkiem zdała się ujawnić, po jej wyrażeniu. Na Węgrzech stało się to po wyborach, w Polsce już przed tym, bo komuniści nauczeni doświadczeniem, uważają, że wygodniej jest i z wielu względów mniej kłopotliwe nie dopuścić w ogóle do wykazania przed światem, co nieszczęsne narody, znajdujące się pod ich butem, myślą i czego chcą.

Z tego punktu widzenia to, co się obecnie dzieje na Węgrzech, posiada znaczenie zasadnicze. Jakże naiwni, oględnie się wyrażając, okazali się ci wszyscy, którzy myśleli, że jaka taka chociaż wolność możliwa jest za „żelazną kurtyną". Czy obalenie drogą gwałtu niekorzystnego dla komunistów wyniku wyborów na Węgrzech wreszcie otworzy oczy tym, którzy się jeszcze na Zachodzie łudzili? Pan Mikołajczyk powinien być rad, że zabieg wykonano na nim i jego stronnictwie raczej przed wyborami, niż po nich. Bo może po wyborach zabieg ten byłby jeszcze boleśniejszy.

Jeden z tego wszystkiego świat będzie mógł wyciągnąć wniosek: kto dzisiaj jeszcze będzie przekonywał ludzi na Zachodzie, że współpraca z komunistami jest możliwa, i kto usprawiedliwia ich postępowanie, nazywając je „demokracją", ten nie może zasłaniać się niewiedzą. Jest on albo świadomym sprzymierzeńcem reżymu bolszewickiego, albo nawet ukrytym jego narzędziem.

SPRAWY POLSKIE

Dyskusja w izbie gmin

Na posiedzeniu Izby Gmin dn. 3.1.47 poseł konserwatywny prof. **Douglas Lloyd Savory** wniósł do Ministra Spr. Zagr. interpelację zapytując, „czy Minister otrzymał od ambasadora brytyjskiego w Warszawie sprawozdanie o nieprawidłowym przebiegu wyborów w Polsce i czy Minister może złożyć oświadczenie w tej sprawie?"

Poseł Labour Party **Thomas Reid** zgłosił interpelację zapytując Ministra Spr. Zagr. „czy jest on zadowolony z tego, że wybory w Polsce odbyły się zgodnie z układem w Poczdamie i co zamierza przedsięwziąć w wyniku tych wyborów?"

Poseł konserwatywny **Kenneth William Pickthorn** zgłosił interpelację do Min. Spr. Zagr., „czy odbył on narady z rządem St. Zjedn. zanim wysunął zarzut, iż rząd polski nie wypełnił zobowiązania w sprawie wolnych wyborów; czy rząd brytyjski rozważał możliwość identycznego i jednoczesnego wystąpienia?"

Na interpelacje powyższe odpowiedział podsekretarz stanu w Foreign Office **Christopher Paget Mayhew**, który oświadczył:

„Informacje dotyczące przebiegu wyborów w Polsce potwierdzają, niestety, wiadomości pochodzące od wiarogodnych brytyjskich korespondentów prasowych, ogłoszone w naszej prasie. Polski Rząd Tymczasowy wykorzystał w szerokim zakresie swą władzę, aby zmniejszyć do minimum ilość głosów tych, którzy stanowili opozycję wobec Bloku Rządowego. Listy kandydatów opozycji były unieważnione w okręgach stanowiących 22% ogółu wyborców. Nazwiska kandydatów i wyborców skreślono z list. Kandydatów na posłów aresztowano. Zmuszono urzędników rządowych, żołnierzy i wielu innych do jawnego głosowania. Stosowano również inne formy nacisku i zastraszania. Obliczanie głosów było dokonane w warunkach całkowicie kontrolowanych przez Blok rządowy."

„Rząd J. K. M. nie może uważać tych wyborów, jako wypełnienia uroczystego zobowiązania, które rząd polski zawarł z rządem brytyjskim, St. Zjednoczonych i Związku Sowieckiego w sprawie przeprowadzenia wolnych i nieskrępowanych wyborów. Nie mogą one więc uważać wyników wyborów, jako prawdziwego wyrazu woli Narodu Polskiego."

„Rząd St. Zjedn. skierował 9 stycznia br. noty do rządu brytyjskiego i rządu sowieckiego proponując wspólne wystąpienie do Polskiego Rządu Tymczasowego. 11 stycznia ambasador brytyjski w Moskwie odbył rozmowę z Mołotowem, w której wyraził głęboką troskę rządu J. K. M. Rząd sowiecki w odpowiedzi rządom brytyjskiemu i St. Zjednoczonych oświadczył, iż nie zgadza się, co do istnienia dyskryminacji, że aresztowania — są konieczne, aby zapobiec nieporządkom i terrorowi oraz, że rząd sowiecki nie uważa, aby była podstawa dla interwencji."

„Minister Spr. Zagr. nie zgadza się z tym poglądem, ale dalsze poruszanie tej sprawy w Moskwie było oczywiście bezcelowe."

„Minister Spr. Zagr. poinformował jednak polski rząd tymczasowy o swym bardzo dużym zaniepokojeniu sytuacją. Podjęto wszystkie możliwe wysiłki, aby zapewnić wykonanie układów zawartych w Jałcie i Poczdamie, lecz bez rezultatu."

„Uczucia nasze są po stronie narodu polskiego, który został pozbawiony swych praw demokratycznych. Prawa te, jak sądziliśmy, były zapewnione przez układ aliancki, który, jak wierzyliśmy szczerze, będzie dotrzymany."

Pos. Savory: Czy Pan Minister wie, że prezes Komisji Spraw Zagranicznych Senatu, senator Vandenberg podsumował całą sprawę mówiąc, że wybory były „szachrowane pod terrorem" (rigged and terrorised)?

Pos. Labour Party Thomas Driberg: Czy Pan Minister zdaje sobie sprawę z tego, że sprawozdanie z wyborów, które przedstawił wygląda tak, jak sprawozdanie z wszelkich wyborów w stanie Georgia (w St. Zjedn.)?

Wicem. Mayhew: Moim zdaniem miliony mieszkańców Europy uważają dzisiaj, że byłoby dla nich błogosławieństwem móc korzystać z takiej swobody osobistej, jaka istnieje w Ameryce.

Pos. Pickthorn: Czy Pan Minister może dać szczegółową odpowiedź na tę część mej interpelacji, która zapytuje, czy sprawa „identycznego i jednoczesnego wystąpienia" razem z rządem St. Zjednoczonych była rozważana. Jeżeli tak, to dlaczego nie wprowadzono tego w życie. Czy Pan Minister może powiedzieć, dlaczego prasie pozwolono przedstawiać sytuację tak, że odnosiło się wrażenie, iż Stany Zjednoczone zajęły właśnie takie stanowisko a pomimo to, o ile mi wiadomo, jest to pierwsze publiczne stwierdzenie, iż rząd brytyjski również myśli w ten sam sposób?

Wicem. Mayhew: „Nie zawsze jest koniecznym maszerować jednakowo w taki właśnie sposób.

Poseł kons. wiceadmirał Ernest Taylor: Biorąc pod uwagę kilkakrotne protesty rządu brytyjskiego oraz rządu St. Zjedn. w sprawie wolnych i nieskrępowanych wyborów i skoro teraz dowiedzione zostało, że wybory nie zostały tak właśnie przeprowadzone — czy rząd poza protestem zamierza podjąć inne kroki?

Wicem. Mayhew: Nasze przyszłe stanowisko będzie oczywiście zależne od czynów nowego rządu polskiego...

Pos. Lab. major Ernest Bramall: Pan Minister wspomniał o tym, że naród polski został pozbawiony praw demokratycznych. Czy Pan Minister zechce powiedzieć, że Polacy posiadali te prawa?

Wicem. Mayhew: Sądzę, że postępujemy słusznie domagając się praw demokratycznych dla ludzi, niezależnie od tego, czy korzystali oni przedtem z tych praw, czy też nie.

Pos. Driberg: Czy to dotyczy także Murzynów w Ameryce?

Pos. konserw. Anthony Eden (b. Minister spr. zagr.): Czy sprawa nie da się ująć w taki prosty sposób: pewne zobowiązania zostały złożone W. Brytanii i Stanom Zjedn. Skoro te zobowiązania, zdaniem rządu J. K. M., nie zostały spełnione, opinia Izby udziela poparcia stanowisku, jakie zajął rząd J. K. M.

Wicem. Mayhew: Rząd polski złożył uroczystą obietnicę, że przeprowadzi wolne i nieskrępowane wybory. Zakładając protesty — protestowaliśmy przeciwko niewypełnieniu zobowiązania międzynarodowego. Nie chcemy zupełnie poprzeć tego lub innego wyniku wyborów. Nasze zainteresowanie sprowadza się tylko do tego, aby wybory były wolne. (PAT).

Nowy rząd warszawski

(t) Przyglądając się składowi nowego rządu należy stwierdzić — co zresztą było z góry do przewidzenia — że wszystkie kluczowe ministerstwa, zapewniające władzę, znajdują się w rękach komunistów, którzy poza tym nie przywiązywali osobnej wagi do innych ministerstw. Pozwolili oni je łaskawie obsadzić reżymowym socjalistom, okruchy zostawiając tzw. „demokratom" oraz rządowym ludowcom.

Szefem rządu został Józef Cyrankiewicz, socjalista, który prowadził rokowania o ugodę z PPR w sprawie „wspólnej akcji" obu stronnictw. Akcja ta, jak pisał organ PPR „Głos Ludu", ma później doprowadzić ostatecznie do zjednoczenia (czytaj roztopienia PPS w PPR) obu partii robotniczych. Jednym z dwóch wicepremierów jest komunista Gomułka, i jego to uważać należy oczywiście za właściwego „premiera". Na ministra wojny został wyznaczony p. Rola-Żymierski, pozornie bezpartyjny, o którym jednak ogólnie wiadomo, że w pełni i bez żadnych zastrzeżeń poddaje się wszystkim rozkazom komunistów i bodajże nawet tajnie należy do PPR. Tekę Bezpieczeństwa Publicznego, innym słowem policji, piastuje osławiony Stanisław Radkiewicz, tekę przemysłu komunista Hilary Minc, a oświaty Stanisław Skrzeszewski, dotychczasowy „ambasador" Warszawy w Paryżu, komunista zacięty, za którego urzędowania we Francji komuniści zachowywali się w stosunku do emigracji polskiej prawie jeszcze bardziej bez obsłonek, niż w Kraju, z tym wyjątkiem, że nie mogli, jako że to w obcym państwie, pakować niewygodnych sobie ludzi do więzień. Ministerstwo spraw zagranicznych ujął w wypróbowane komunistyczne ręce p. Zygmunt Modzelewski, który zresztą już dotychczas, jako wiceminister, był w nim okiem i uchem Moskwy, używając p. Rzymowskiego, jako bardzo już zresztą wytartego manekina.

A więc policja, wojsko, sprawy zagraniczne, oświata, przemysł i wicepremierostwo komuniści, reszta dla ozdoby reżymowi socjaliści, bo tak zwani „demokraci" i reżymowi ludowcy się nie liczą. Podział tek w myśl przysłowia: Tobie zając i sarna, a mnie soból i panna. Przynajmniej i na zewnątrz wiadomo, kto rządzi.

Sprawa zatrudnienia Polaków w Anglii

(r) Pismem, które bodaj najżywiej zajmuje się sprawą zatrudnienia Polaków w Anglii, jest wielki, liberalny organ „Manchester Guardian". O dłuższego już czasu poświęca on temu zagadnieniu nie tylko uwagi i komentarze oraz opisy życia Polaków w różnych obozach w Anglii, ale także zasadnicze artykuły wstępne. „Manchester Guardian" stoi na stanowisku, że masowe przybycie Polaków do W. Brytanii jest właściwie dla niej dobrodziejstwem w okresie tak krytycznym dla jej gospodarki, kiedy w każdej dziedzinie zaznacza się brak sił ludzkich i kiedy wydajność pracy w niektórych działach gospodarki brytyjskiej tak silnie spadła.

Dziennik z Manchesteru wyraża nawet zdanie, że możnaby więcej jeszcze cudzoziemców sprowadzić do Anglii, zwłaszcza z obozów D. P. w Niemczech. Stwierdza przy tym, że głosząc te poglądy, nie kieruje się uczuciem, ale po prostu „dobrym interesem" (good bussiness).

Z tego punktu widzenia „Manchester Guardian" zajmuje stanowisko krytyczne wobec niedostatecznej — jego zdaniem — energii wykazywanej w tej dziedzinie przez rząd brytyjski, a jeszcze bardziej wobec krótkowzrocznego stanowiska brytyjskich Związków Zawodowych, które czyniły tyle trudności przy dopuszczeniu Polaków do pracy.

Oświadczenie brytyjskiego ministra pracy Isaacsa w Izbie Gmin w sprawie zatrudnienia Polaków, w zasadzie bardzo zresztą dla nas życzliwe, było „zdaniem „Manchester Guardian" niewystarczające. Minister Isaacs stwierdził, że 142 tys. Polaków powołanych jest do PKPR, spośród nich 42 tys. zarejestrowało brytyjskie Ministerstwo Pracy, ale z tych tylko 2,100 otrzymało pracę w życiu cywilnym.

Liczby te wydają się „Manchester Guardian" zdumiewające. W numerze z dnia 29 stycznia pismo wysunęło szereg zapytań, dlaczego dotychczas tak mało Polaków zapisało się do P.K.P.R., co robi w tej sprawie ministerstwo wojny, kto jest za to odpowiedzialny, czy „polskie uprzedzenia, czy też oficjalna brytyjska nieudolność", ilu spośród 53 tys. Polaków, zajętych w obozach, pełni pracę użyteczną itd. Słowem „Manchester Guardian", był zdania, że ministerstwo p. Isaacsa nie może być „dumne" z umieszczenia w pracy cywilnej zaledwie 2.100 Polaków.

Dziennik liberalny zdaje sobie sprawę, że zagadnienie nie jest proste. W numerach z dnia 3 i 4 lutego ukazały się w tym piśmie reportaże z różnych obozów polskich z północno-zachodnich części W. Brytanii.

Reportaże choć ujęto w duchu dla nas bardzo życzliwym, nie ukrywały różnych trudności. Korespondenci pisali m. in.:

„Nie ma jednak żadnych możliwości użycia Polaków w oddziałach robotniczych na roli i gdzie indziej ił tylko dla wypełnienia braku, powstającego wskutek odpływu jeńców niemieckich. Jest to zagadnienie moralne, co do którego nie może być dwóch poglądów. Wielu Polaków — jest bardzo czułych na punkcie swego statutu żołnierzy zwycięskich wojsk sprzymierzonych. Dowództwo dzielnic zachodnich (Western Command) już używa około 3.000 umundurowanych Polaków jako siłę roboczą zatrudnioną z oddziałami saperskimi (brytyjskimi) i R. A. S. C. oraz w działaniach mających na celu walkę z brakiem mieszkań.

„Jeżeli PKPR ma być czymś więcej niż tylko białym słoniem, wiele dobrej woli należy okazać z obu stron. Pracodawcy na ogół bez entuzjazmu powołują do pracy Polaków i cały ten plan będzie wymagał „doboru" przez ministerstwo. Polacy cieszą się opinią (nieco zasłużoną), że są ludźmi dumnymi i drażliwymi. Mówi się również o nich, że są to twardzi pracownicy, oraz pociągający towarzysze dla obu płci, gdy się już zadomowią."

Zastanawiając się na sposobem umieszczenia Polaków „Manchester Guardian" omawia projekt oddania im również obozów pozostawionych przez jeńców niemieckich, po dokonaniu w nich oczywiście wielu ulepszeń. Ale dodaje, że tutaj prawdopodobnie powstaną trudności ze strony Polaków.

„Pod względem psychologicznym obóz pojeniecki działać będzie jak czerwona chusta na byka. Co było dostatecznie dobre dla Niemców, wydawać się musi niedobre dla weteranów z pod Monte Cassina."

Mimo tych wszystkich trudności i zastrzeżeń „Manchester Guardian" powrócił do sprawy wykorzystania pracy Polaków w W. Brytanii w artykule wstępnym z dnia 4 bm., w którym proponował również „sprowadzenie w dużej ilości ludzi pracujących spośród D.P. w Niemczech, gdzie są oni skazani na „lenistwo".

„Każdy, kto badał zagadnieni naszej narodowej gospodarki bez żadnego przesądu — pisał „Manchester Guardian" — zgodzi się, że wykorzystanie w pewnej mierze pracy cudzoziemców stało się koniecznością, jeżeli mamy w ogóle opanować obecny poważny brak siły ludzkiej... Rząd musi się zdecydować (wbrew nacjonalistycznym dążeniom ostatnich dwudziestu lat) i uznać, że wchłonięcie wielu tysięcy cudzoziemców okaże się dobrodziejstwem dla naszego kraju. Nie będzie on żywił większych obaw, jeżeli przypomni sobie naszą własną historię oraz historię Stanów Zjednoczonych i Dominiów".

„Manchester Guardian" raz jeszcze zaznacza, że powołanie Polaków do pracy w W. Brytanii jest zbyt powolne, rozwiązywanie zaś zagadnienia D. P. jest jeszcze powolniejsze. Wygnańcy w Niemczech „wiodą coraz bardziej demoralizujące i przygnębiające życie w nierobstwie". Pismo wspomina o Polakach w Niemczech, zwraca jednak szczególniej uwagę na obecność wśród D. P. w Niemczech około 82 tys. Bałtów, którzy jego zdaniem „pod wielu względami są bardziej pożądanymi imigrantami niż Polacy, gdyż łatwiej się asymilują i szybciej wdrażają się w angielski sposób życia". „Bylibyśmy szaleńcami — zaznacza w zakończeniu „Manchester Guardian" — gdybyśmy zaniedbali tę sposobność. Nie jest to sprawa uczucia, ale dobrego interesu."

Francuski eksperyment społeczno-ekonomiczny

Szczyty wzgórz niskich Alp, dymiące mgłą świtu budzą dziwne skojarzenia. Jest październik 1946 i grupa akademików z Belgii wspina się w kierunku zameczku w Abresle (dolina Rodanu).

Zamek — obecnie siedziba Ojców Dominikanów — jest dziwną mieszaniną stylów. Stare baszty o charakterze obronnym musiały przejść niejedną walkę. Ale część główna jest bezsprzecznie dobudówką o parę wieków późniejszą. Trudno było znaleźć idealniejsze miejsce na kurs, niż ten właśnie zamek w pięknym parku, mieniącym się wszystkimi odcieniami bogatej francuskiej jesieni.

Tu mieści się „Ecole de l'Economie et l'Humanisme", w której odbywają się kursy dla przeróżnych narodowości, kursy, zaznajamiające z nową koncepcją gospodarczo-społeczną tu właśnie wypracowaną.

Niezmiernie istotny jest fakt, że szkoła nie ogranicza się do dociekań czysto doktrynalnych. Ci sami, poważni i godni szacunku ojcowie, których dziś usłyszymy przy prelekcji o marksizmie, o ekonomii społecznej — jutro pójdą w teren: przy nas właśnie jeden z nich pojechał do St. Etienne, by pracować tam jako kelner; inny spędził dłuższy czas w dokach Marsylii, by swe dociekania teoretyczne uzupełniać stale bezpośrednim zetknięciem się z ludźmi pracy.

Sytuacja gospodarcza w jakiej znalazła się Francja już przed wojną, narzuciła konieczność wypracowania nowej koncepcji ekonomicznej, opartej na jak najszerszym podłożu społecznym i myśli o człowieku.

Należało znaleźć doktrynę pośrednią pomiędzy socjalizmem i liberalizmem, tak by w wynikach nie dojść do wniosku: „zapomniano o człowieku". Bo właśnie człowiek i jego potrzeby wszelkiego rodzaju — to podstawowa troska twórców „Economie et Humanisme".

Podczas gdy socjalizm „sensu strictu", zwłaszcza w pojęciu Lenina w ramach zbiorowości prowadzi nieuchronnie do rozwiązań totalitarnych, liberalizm zaś wyłączną uwagę zwraca na zaspokojenie potrzeb człowieka jako jednostki — „ekonomia społeczeństwa" przyjmuje założenia socjalizmu katolickiego: człowiek jest częścią pewnej całości (społeczeństwa). Dobro społeczeństwa jest bezsprzecznie ważniejsze, niż dobro jednostki. Istnieje jednak pewna konieczność wymiany: społeczeństwo jest dla jednostki, podczas gdy jednostka dla społeczeństwa, jako wspólnoty.

Wypływa stąd zróżniczkowanie wspólnot: od rodzinnej, poprzez zawodową, miejską, narodową aż do międzynarodowej.

Ale stale i wciąż podkreśla się interesy i prawa człowieka — w ramach wspólnot i w ramach dobra ogólnego. Zasadą podstawową jest szacunek dla człowieka; każda jednostka ma swą wartość nieskończoną, którą należy pogłębiać i rozwijać poprzez poprawę warunków jej bytu.

I jedna jest tu rzecz charakterystyczna: w popularnych argumentach przeciwników katolicyzmu wysuwa się często zarzut, jakoby według nauki katolickiej życie pośmiertne usprawiedliwiało cierpienia doczesne. Tu natomiast sprawa jest stawiana bardziej uchwytnie — i ponętnie: człowiek musi być szczęśliwy; osiągnąć to może przez wolność psychiczną, do której dochodzi się poprzez niezależność materialną.

Praca pojęta jest nie tylko jako cel, lecz i jako środek do rozbudowania własnego życia, nie jako środek tylko do zbobycia minimum utrzymania, lecz również jako środek do uczestniczenia we wszelkich zdobyczach cywilizacji i kultury.

Zamiast nędzy mieszkaniowej, brzydoty otoczenia codziennego, ulic ciasnych, pracy zmechanizowanej, niewolnictwa maszyny, należy człowiekowi dać normalne ramy życiowe, w których znajdzie się miejsce na piękno i sztukę. Niezdrowy rytm życia współczesnego powoduje zatracenie równowagi wewnętrznej człowieka. W nowych ramach ma on stać się pełnowartościowym członkiem społeczeństwa.

Punktem wyjściowym jest wynik niezmiernie dla nas ważki — rodzina. Pierwsza, najbardziej zasadnicza komórka. Człowiek nie jest stworzony do życia samotniczego. Rytm życia współczesnego załamuje rodzinę, czyni ją zbyt elastyczną. Ale bezpieczeństwo i dobro rodziny oprzeć się musi na bezpieczeństwie zatrudnienia, zawodu, przedsiębiorstwa, przemysłu.

Ekonomia współczesna opiera się, jak to zostało powiedziane, na wspólnotach. I rozwiązania tego nie uważa się za rzecz względną, lecz za konieczność. Dobra, jakimi ludzkość rozporządza, dane zostały całości, nie zaś jednostkom. I dlatego właśnie ludzkość zgrupowana musi czerpać z nich zyski.

Konieczne jest, by w tym celu wytworzyć pewną jedność ekonomiczną, ustalić równowagę pomiędzy potrzebami i wytwórczością, ustalić pewną hierarchię potrzeb. Mówi się przy tym o decentralizacji — zarówno na odcinku życia miejskiego (wspólnoty dzielnicowe), jak i w szerszym zakresie, o rozproszeniu przemysłu w skali narodowej. Podkreśla się konieczność zróżniczkowania zawodów w obrębie rodziny i o systemie podwójnego rzemiosła dla każdego.

Prace „Economie et Humanisme" dzielą się wyraźnie na dwa kierunki: teoretyczno-doktrynalny i praktyczny.

Szereg Dominikanów poświęca się całkowicie studiom naukowym, a przede wszystkim przygotowaniu materiałów dla szkoły, dla centrum naukowego. Zakres nauk, o jakie trzeba się tu oprzeć, jest bardzo szeroki, gdyż w grę wchodzi zarówno ekonomia polityczna i społeczna, geografia ekonomiczna, biologia, higiena, psychotechnika jak i wiele innych.

Nad Rodanem Lyonie

Obok tego ważnym odcinkiem jest ośrodek doświadczeń, poszukiwań i statystyki. Dokładnie opracowane diagramy i wykresy pozwalają na zorientowanie się zarówno w zagadnieniach ram zewnętrzych życia robotnika, naukowca czy rolnika, jak i w jego rozwoju zarówno umysłowym jak psychicznym i moralnym. Oczywiście nie jest to praca, która mogłaby być wykonywana szybko i „ad hoc". Wymaga ona doskonałej znajomości środowiska i ludzi, których się używa za „modele" do diagramów.

Wreszcie najważniejszy odcinek, to doświadczenia uchwytne z dziedziny ekonomii społecznej. Zetknęliśmy się w czasie kursu z jednym z nich — niestety nie są one jeszcze liczne, nawet we Francji, ojczyźnie nowej nauki. „Communauté de Travail Marcel Barbu", w Valence jest jedną z pierwszych, przykładowych, komórek pracy, w pojęciu „Economie et Humanisme". Fabryka wierzchów zegarkowych tam istnieje, a stanowi własność robotników. Jest to fabryka mała, obejmująca ok. 150 robotników. Doświadczenia zresztą wykazały, że powodzenie takiego przedsięwzięcia jest uwarunkowane właśnie małą liczbą członków. Robotnicy w Valence kierują wspólnie swą fabryką, dzielą się proporcjonalnie jej zyskami. Podział ten jest zresztą bardzo złożony, gdyż w grę wchodzi nie tylko ilość przepracowanych godzin i wydajność zawodową, lecz tzw. „valeur humaine" — wartość ogólna człowieka na odcinku pracy społecznej i kulturalnej: wszystkie te dziedziny wchodzą bezpośrednio w zakres życia fabrycznego. W Valence nie chodzi bowiem jedynie o wytwórczość, chodzi o wychowanie człowieka w myśl wyżej podanych przesłanek. I dlatego wychowanie, wykłady z różnych dziedzin wchodzą w zakres godzin pracy, są nieodłączną częścią życia fabrycznego. Niemniej pracownicy mają dochody większe niż gdziekolwiek indziej we Francji; każdy robotnik ma poczucie niezależności materialnej i moralnej, a jednocześnie głębokiego związku ze wspólnotą fabryczną.

Jeśli zechcemy oceniać te poczynania — zarówno doktrynalne, jak i praktyczne, — obok ocen bezsprzecznie pozytywnych nasuwa się również szereg wątpliwości. Zaznaczyć oczywiście trzeba, że eksperyment francuski jest tylko odskocznią do postawienia zagadnienia na płaszczyźnie międzynarodowej.

Dopuszczenie każdego człowieka do pełnego korzystania z dóbr kulturalnych i cywilizacyjnych — po odpowiednim wychowaniu go oczywiście — jest bezsprzecznie czynnikiem pozytywnym. Problemy decentralizacji przemysłu, zmiany oblicza urbanistyki, stawialiśmy niejednokrotnie w programach ekonomicznych, wypracowywanych jeszcze w Polsce w konspiracji. Podobnie zagadnienia rodzinne, jak i wprowadzenie elementu duchowego są bezsprzecznie czynnikami pozytywnymi.

Ale jednocześnie czerpie się odważną ręką z założeń marksistowskich i kolektywistycznych. I tu leży niebezpieczeństwo wypaczenia idei. Dziś zarówno komuniści, socjaliści, jak i katolicy, przychodzący do Valence, stwierdzają, że znaleźli to, czego stale szukali, co było dla nich koniecznym warunkiem do pełnego rozwoju. Należy zresztą podkreślić, że od członków „Communauté" wymaga się pewnego kośćca ideowego i moralnego: mogą nie być wierzącymi, w rozumieniu wyznania religijnego, ale muszą mieć pewną ideologię, pewne wyobrażenie życia.

Jasne jednak jest, że idea — jak każda idea — może łatwo ulec wypaczeniu, o ile dostałaby się w ręce ludzi, którzy chcieliby ją uczynić narzędziem rozgrywek politycznych. Mówi się wprawdzie o zachowaniu nieskazitelności katolickiej czynników kierowniczych, ale niebezpieczeństwo prób odchylenia zawsze istnieje przy najbardziej hierarchicznej organizacji.

. J.

SYLWETKI

Dziwny życiorys p. Bermana

Pisma krajowe ogłaszały z powodu ostatnich „wyborów" w Polsce życiorysy czołowych kandydatów do sejmu. Jeżeli chodzi o kandydatów PPR, życiorysy mogłyby być na pewno bardzo ciekawe, gdyby je przedstawiono szczegółowo i prawdziwie, bo o niektórych osobistościach, grających dzisiaj główną rolę w Polsce, naprawdę w Kraju i zagranicą niewiele wiadomo. Niestety napisano je w ten sposób, że na pewne okresy tych ludzi więcej rzucają zasłon niż światła, a wstydliwe przemilczanie nieraz tych właśnie niewielu faktów, które są wiadome, tymbardziej robi z nich bardzo wątpliwe źródło dowiedzenia się, kim są ludzie, którzy rządzą dzisiaj Polską.

Czasem jednak z niedomówień i wytworzonych w ten sposób sprzeczności więcej wynika, niż to było zamiarem dzienników, ogłaszających te dyplomatycznie ułożone wypracowania.

I tak np. dowiadujemy się z życiorysu „podsekretarza stanu w prezydium rady ministrów" tymczasowego rządu warszawskiego, Jakuba Bermana, ogłoszonego przez organ P. P. R. „Głosu Ludu" z 12 stycznia — Berman należy jak wiadomo wespół z p. Gomułką, Radkiewiczem i Mincem do grupy, która dzisiaj o wszystkim w Polsce rozstrzyga — że po klęsce wrześniowej schronił się on na sowiecką Białoruś do Mińska i tam redagował pismo pt. „Sztandar Wolności". Podkreślamy, i jest to zresztą wyraźnie w życiorysie zaznaczone, że pismo wychodziło w Mińsku przed wybuchem wojny sowiecko niemieckiej.

Wiele, bardzo wiele dalibyśmy za to, gdybyśmy mogli przejrzeć roczniki tego pisma z owego okresu. Grupowała się w nim jak czytamy „nasza lewica literacka i dziennikarska". Jaka? Radzibyśmy wiedzieć nazwiska. Bo przecież był to okres, w którym na całym świecie prasa komunistyczna z prasą sowiecką na czele głosiła hymny na cześć przymierza sowiecko-niemieckiego, i w którym nie tylko życzliwie, ale wprost z uznaniem pisała o Hitlerze i hitleryźmie. Sowiety wówczas w przymierzu z Hitlerem zajęły ogromną część Polski, którą dotąd trzymają. Jak też mógł pisać wtedy „Sztandar Wolności", redagowany w Sowieckiej Białorusi przez dawnego, wiernego i wybitnego członka partii komunistycznej Jakuba Bermana? Czy może jako jedyne pismo komunistyczne nie tylko w całej sowieckiej Rosji, ale w ogóle na całym świecie, odważył się na wystąpienie przeciwko temu przymierzu, którego owocem był czwarty rozbiór Polski? Czy może rozbiór ten dokonany przez Hitlera i Stalina „Sztandar Wolności", (tak, „wolności"!) poddawał miażdżącej krytyce? Czy może piętnował masowe wywożenie Polaków z zabranych przez Rosję obszarów? Nie mógłby tego oczywiście czynić otwarcie, bo nie tacy, jak Jakub Berman, komuniści powędrowali na najlżejszy opór przeciwko polityce Stalina na drugi świat! Więc może komunista Jakub Berman prowadził przeciwko reżimowi bolszewickiemu i jego polityce zagranicznej oraz uderzeniu na Polskę akcję — w podziemiach? I za tę właśnie akcję dzisiaj zajmuje w rządzie utworzonym z ramienia Rosji w Polsce czołowe stanowisko?

Bo gdyby przypadkiem było to pismo uznane przez władze sowieckie w okresie przymierza sowiecko-hitlerowskiego, obawiamy się bardzo, że znaleźlibyśmy w nim takie same piękne artykuły, od jakich roiła się prasa komunistyczna w Rosji, we Francji (przypomniano to jej bardzo dotkliwie obszernymi cytatami w okresie wyborów francuskich), w Szwajcarii (gdzie jej o również niedawno przypomniano) i całym świecie, artykuły broniące, a co więcej sławiące politykę Hitlera i narodowy-socjalizm.

Jest pewna wzmianka w życiorysie p. Jakuba Bermana, która bardzo wstydliwie wspomina o zmianie tonu pisma w chwili wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej. „Wybuch wojny sowiecko-niemieckiej pozwala nam nareszcie pewne sprawy sformułować bez dyplomatycznych obsłonek" — pisze autorka życiorysu podpisująca się nazwiskiem Janina Broniewska, która przebywała jak wynika z artykułu razem z p. Bermanem w Mińsku.

A więc były „dyplomatyczne obsłonki", to znaczy, że pismo wychodziło w Rosji legalnie. Bo gdyby nielegalnie, nie byłoby oczywiście potrzebne „obsłonki". Dużo, dużo dalibyśmy za to, żeby te „obsłonki" móc zobaczyć i przeczytać! Oczy NKWD są, jak to chyba p. Berman wie najlepiej, tak wnikliwe, że „obsłonki" musiały być bardzo grube, tak grube, że chyba za nimi nie było już miejsca na nic, co mogły — ukryć! Ach, gdyby nam pokazano te „obsłonki"! Jak one wyglądały, co w nich pisano!!

Bo zresztą dla p. Bermana istnieje wyłącznie jedna rzecz: partia! O niej tylko — jak pisze p. Broniewska — mówił w gorączce podczas choroby. Była to rzecz „ważniejsza od prac naukowych, od rodziny".

Polski p. Broniewska nawet nie wymamla.

Parę słów o pewnym pamflecie

P. Gustaw Paszkiewicz należał do bardzo nielicznego grona wyższych dowódców Polskich Sił Zbrojnych, którzy oddali się na usługi obecnego systemu komunistycznego w Polsce. W roku 1945 powrócił on z Londynu do Kraju, by objąć tam powierzone mu przez administrację warszawską stanowisko wojskowe. Przyznać trzeba, że wyjazd p. Paszkiewicza do Warszawy przeszedł tu niemal niepostrzeżenie. Nigdzie też nie odczuto jego odejścia jako straty dla wojska polskiego. Wręcz przeciwnie. P. Paszkiewicz odegrał minimalną rolę w Armii Polskiej na obczyźnie. Nie dowodził przecież żadną większą jednostką w akcji, tak się bowiem składało, że niemal prochu nie powąchał, natomiast jego zamiłowanie do wystawnego życia, no i do defilad było istotnie rażące i zbyt odbiegało od stylu nowoczesnej, demokratycznej armii.

Akcja wojenna czekała p. Paszkiewicza dopiero w kraju. Mianowany dowódcą dywizji okręgu białostockiego przyjął ochoczo powierzony mu mandat stłumienia orężem działających w Białostockim organizacji podziemnych. Oczywiście polskich. Cokolwiek z punktu widzenia politycznego sądzilibyśmy o celowości podziemnego działania pod okupacją sowiecką, nie możemy zapominać, że do lasu szły zazwyczaj najbardziej wartościowe, choć może politycznie niedoświadczone żywioły spośród młodzieży polskiej, dawnych żołnierzy AK, ludzi prześladowanych itd. P. Paszkiewicz zabrał się do niszczenia ich z zapałem i powierzone mu zadanie wykonał podobno wzorowo, zdobywając sobie pełne uznanie swych nowych przełożonych.

Widocznie jednak tych zasług było jeszcze mało, zażądano od p. Paszkiewicza dalszych dowodów lojalności. P. Paszkiewicz nie dał się długo prosić i wystąpił z broszurą pod skromnym tytułem: „Dlaczego kandyduję z listy Nr. 3." Bo trzeba tu dodać, że p. Paszkiewiczowi zaproponowano mandat poselski. Oczywiście z listy komunistycznej. P. Paszkiewicz zaszczycony taką propozycją zabrał się skwapliwie do pisania utworu politycznego, który uznano widocznie za niezmiernie doniosły, albowiem zaczął ukazywać się on w odcinkach w różnych krajowych pismach komunistycznych.

P. Paszkiewicz nie ujawnił w tej broszurze talentu literackiego. Rzecz jest napisana licho i bardzo niewybrednie. Sprowadza się do humorystycznego pamfletu na środowisko polskiej emigracji, wśród której p. Paszkiewicz żył sobie nienajgorzej w czasie wojny.

Z broszury ma wynikać, że przez lata wojny p. Paszkiewicz przeżywał potworne męki moralne, będąc zmuszonym obracać się — jak pisze — w „zgniłej atmosferze moralnej" Londynu i wśród ludzi takich jak „Andersowie, Raczkiewiczowie, Bieleccy, Kopańscy et consortes". Rozumiemy p. Paszkiewicza bardzo dobrze. Jak mogą Andersowie, Raczkiewiczowie, Bieleccy, Kopańscy et consortes równać się z takimi postaciami, jak Radkiewiczowie, Bermanowie, Groszowie, Gomułkowie i towarzysze, wśród których p. Paszkiewicz obraca się obecnie. W każdym razie można mu tylko pogratulować, że wreszcie znalazł się wśród osób sobie bliskich, stojących na dostosowanym do niego poziomie moralnym i że ma wreszcie możność oddychać ożywczą atmosferą tak mu miłego otoczenia. Szkoda tylko, że p. Paszkiewicz tak bardzo ukrywał przed wszystkimi na emigracji swe cierpienia moralne, na które skazywał się przez lata wojenne. Nie malowały się one w każdym razie na jego zadowolonej wówczas twarzy.

Broszura p. Paszkiewicza roi się oczywiście od zupełnie dowolnych twierdzeń, które w normalnych warunkach wymagałyby sprostowań nie tylko prasowych. Również w normalnych warunkach, niedopuszczalne byłyby nieprzytomne napaści na generałów w czynnej służbie, których pan Paszkiewicz pragnąłby widocznie w oczach czytelników w Kraju obedrzeć ze sławy wojennej, którą się tam cieszą. Wobec tego jednak, że nie żyjemy w czasach normalnych i przynajmniej na razie nie może być do broszury p. Paszkiewicza właściwych „sprostowań", autor miał możność włożenia w to, co napisał całego bogactwa swego umysłu i charakteru. Zresztą zważywszy przeszłość p. Paszkiewicza te ustępy nikogo nie zdziwią.

W szczególności nie powinny one dziwić p. Mikołajczyka, którego p. Paszkiewicz obrał sobie za główny cel swych napaści. Co prawda, był czas, gdy na gruncie londyńskim, p. Paszkiewicz chętnie przyznawał się do obozu politycznego, któremu p. Mikołajczyk patronował. Solidaryzując się z jego polityką, wrócił przecież do Kraju. Ale to było już bardzo dawno. P. Mikołajczyk był wówczas premierem, cieszącym się względami „wielkiej trójki", otwierała się przed nim — jak sądzono — wielka przyszłość. Nikt też nie słyszał, by wówczas stanowisko p. Mikołajczyka budziło we wrażliwej duszy p. Paszkiewicza jakieś wątpliwości. Ale dziś... Dziś o p. Mikołajczyku i o PSL można pisać inaczej. Oto kilka przykładów z tego soczystego i wonnego utworu:

„Wiem, że przywódcy band leśnych, świadomi zwolennicy Andersa i niejednokrotnie świadomi agenci obcego wywiadu — mordercy, grabieżcy i podpalacze — wszelkimi siłami popierają PSL. Wiem z drugiej strony, że wielu wybitnych działaczy PSL to równocześnie aktywni uczestnicy, a nieraz i kierownicy działalności terrorystycznego podziemia... Dzisiaj coraz powszechniejszą staje się świadomość, że PSL — czy podoba się to komuś czy nie, jest narzędziem w ręku tych samych sił, które patronują Andersowi i kierują jego działalnością".

I dalej w tym samym stylu. Lecz te kilka urywków z broszury p. Paszkiewicza dostatecznie odtwarzają atmosferę moralną, wśród której autor czuje się tak dobrze.

Z HUMORU AMERYKAŃSKIEGO

Owoce pokoju — cztery traktaty z dawnymi satelitami Niemiec

(„Baltimore Sun")

KRONIKA GOSPODARCZA

Brak rąk do pracy w Zjednoczonym Królestwie

W rezultacie nagromadzenia Polaków w Zjednoczonym Królestwie musimy obszernie omówić panujące tam warunki zatrudnienia i perspektywy gospodarcze na przyszłość.

Opinia publiczna i koła finansowe w Anglii wstrząśnięte zostały publikacją urzędową o położeniu gospodarczym. Nastawienie przeciętnego Anglika w sprawach gospodarczych wykazywało do ostatnich czasów, obawę przed bezrobociem. Wstrząs i dezorientacja spowodowana rządowym oświadczeniem polegają na tym, że po raz pierwszy powiedziano jasno, że kraj ten stoi wobec grozy przeciwieństwa. Nie przed nadmiarem, ale przed brakiem sił ludzkich do pracy.

Z obliczeń wynika, że jakkolwiek zatrudniona część społeczeństwa jest jeszcze o 570.000 liczniejsza niż w połowie 1939 roku, przy cyfrze 20.324.000 to jest jednak 815.000 więcej osób niż wówczas pracuje w siłach zbrojnych, w państwowym i samorządowym aparacie, teatrach, kinach itd. tak, że na pracę w produkcji właściwej wypada o 241.000 mniej niż przed wojną: 15.339.000. Na skutek podniesienia o rok lat szkolnych — 370.000 chłopców i dziewcząt nie wejdzie na rynek pracy. Do tego przyłącza się stały ubytek spowodowany zmniejszeniem się urodzin w Zjednoczonym Królestwie w latach 1930 i następnych.

Do własnego ubytku okrągło 700.000 robotników (w czym górnictwo uczestniczy z 100.000) przyłącza się dalszy ubytek 15.000 jeńców niemieckich miesięcznie, którzy powyższymi liczbami nie są objęci, ale nie mniej w roku ubiegłym, w liczbie 600.000, pewne prace wykonali.

Nie przebrzmiały nam jeszcze w uszach inscenizowane przez komunistów demonstracje przeciwko „faszystom" Andersa, którzy przyjeżdżają do Anglii i Szkocji odbierać chleb robotnikom, gdy oto we wszystkich pismach pojawiają się artykuły o konieczności sprowadzenia zagranicznych robotników, jako już o jedynym sposobie niedopuszczenia do zatrzymania ruchu fabryk z braku paliwa, szczególnie pomoc Polaków jest na wszystkich ustach.

Jeżeli jednak na serio planowano podniesienie ilościowe (nie w funtach) eksportu Zjedn. Królestwa o 75 procent w stosunku do czasów przedwojennych, to musiano obliczać ilość potrzebnych i istniejących robotników i stwierdziwszy brak, zdecydować się na ściągnięcie tych sił roboczych do kraju chociażby w drodze specjalnych przywilejów. Powiadomione o tych koniecznościach społeczeństwo byłoby od początku życzliwie patrzyło na zatrudnianie obcych w swoim kraju.

Reakcja giełdy

Stworzona brakiem rąk do pracy, szczególnie w węglarstwie, sytuacja, po stwierdzeniu jej oficjalnie przez rząd, wywołała zrozumiałe zaniepokojenie świata finansowego i zniżkę na giełdzie. Charakterystyczne przy tym jest, że zniżka kursów nie tylko objęła akcje przemysłów dotkniętych bezpośrednio zmniejszeniem przydziałów węgla, ale również tych, które, jak akcje złota, zyski swe całkowicie czerpią z produkcji dominiów, a nawet akcji miedzi, ołowiu i cynku produkowanych w Australii czy Rodezji, których szanse przez podniesienie ceny tonny miedzi w Nowym Yorku ponad czterysta dolarów (cena przedwojenna dol. 220) i podobnych zwyżkach w innych metalach, zwiększyły się kilkakrotnie.

Fakt ten wytłumaczyć można, albo nieprzemyślanym odruchem, albo też zachwianiem się zaufania nie do tego, aby się sytuacja w ogóle nie dała opanować, ale do tego, że rząd będzie miał trudności w jej opanowaniu. Znamiennym jest tu artykuł „Financial Times" z dnia 21 stycznia 1947 pod tytułem „Za wiele zaraz":

„Czy nie zamierzamy zrobić za wiele zaraz? Równocześnie staramy się podnieść poziom konsumpcji, uposażyć technicznie od nowa przemysł, wybudować miliony domów, przemienić podział majątków, zwiększyć świadczenia społeczne, podnieść wywóz wysoko ponad skalę przedwojenną, skrócić czas pracy — i dokonać tego przy zredukowanej sile roboczej. Na długą metę te cele nie są z sobą nie do pogodzenia, na krótką metę wiele z nich pogodzić się nie da."

Jest to bodaj najbardziej zwięzłe ujęcie sytuacji obecnej, jakie zdarzyło się nam czytać w prasie angielskiej.

Polacy winni bacznie obserwować dobre, jak i złe możliwości, które z tej sytuacji dla nich w Anglii wynikają i porównywać je z możliwościami zatrudnienia, do czasu powrotu do kraju w innych krajach zamorskich.

Na zachodniej półkuli

W Stanach Zjednoczonych prawie wszystkie ważniejsze ograniczenia cen zostały zniesione i nastąpiła obniżka cen artykułów pierwszej potrzeby, z wyjątkiem takich importowanych, jak kauczuk czy herbata. Ta ostatnia ma tendencję zwyżkową.

W tej samej chwili kiedy firmy angielskie podnoszą ceny samochodów, Ford rozpoczął obniżkę ich cen w Stanach Zjednoczonych. Republikanie dążą do ograniczenia wydatków państwowych i prezydent Truman dokonał skreśleń w preliminarzu sięgających już kwoty trzech czwartych miliarda dolarów.

W następstwie wojny i olbrzymiego zapotrzebowania na mięso, skóry i olej lniany w latach powojennych ujawniła się potęga gospodarcza i olbrzymie możliwości Argentyny. W samym Zjednoczonym Królestwie ma państwo to zamrożonych należności 125 milionów funtów i od roku blisko toczą się pomiędzy Argentyną i W. Brytanią rokowania o wykup z rąk angielskich akcjonariuszy sieci, zbudowanych za ich kapitały, kolei argentyńskich. Rokowania te dobijają już do szczęśliwego końca przy życzliwym poparciu prezydenta Perona.

Plany Argentyny idą w kierunku większego niż dotychczas zespolenia interesów Ameryki łacińskiej. Szczególnie bliskie są obecnie stosunki Argentyny z Chili. O ile Argentyna jest wyjątkowo bogatym krajem rolniczym, o tyle Chili, dzięki złożom minerałów (saletra, miedź, boraks, złoto itd.) stanowi jakoby jej górnicze uzupełnienie. Ambicje Perona idą jednak dalej. Chce on stworzyć w państwie swym poważny przemysł i planuje milionowe emigracje z Europy: Hiszpanów, Włochów, a także Polaków. W związku z tym zaofiarowano Polakom już dziewięćdziesiąt posad technicznych.

Argentyna nie godzi się na bojkot Hiszpanii i udziela jej kredytu półmiliardowego. Zacieśnia stosunki z Włochami. Wpływy jej w Brazylii i Boliwii rosną z dniem każdym. W polityce i gospodarstwie światowym powstaje nowa, młoda i prężna potęga. Zarówno Stany Zjednoczone, jak W. Brytania liczą się ze wzrostem znaczenia Argentyny i są mocno zainteresowane w obrotach handlo- z tym państwem.

Czarna giełda na złoto

Co do sytuacji we Francji, nie sposób przemilczeć czarnej giełdy na złoto, tam królującej. **„The Financial Times"** ogłosił tabelkę zmian kursów czarnej giełdy paryskiej w ubiegłym roku:

	Zł. Ludwik	Ł.szt.	Am.dol.	Szw. franc.
Kurs urzęd:	946	790	285	28
Plac.Maj	6.500	875	345	..
„ Czerwiec	5.500	790	285	..
„ Sierpień	4.000	680	235	..
„ wrzesień	5.100	800	300	110
„ poł. list.	4.826	940	340	111
„ kon. „	4.900	1.005	34-	111

Z tej tabeli wynika, w Paryżu płacona za papierowego funta w listopadzie szóstą część złotego suwerena lub 2 dol. 85 ct. amer. Jeszcze ciekawsze są różnice w cenach płaconych urzędowo i aktualnie za złoto. Tak za uncję złota płacono oficjalnie:

w Londyni	Ł. 8,12 s.
w Meksyku	Ł. 9,14 s. za sztaby,
	Ł. 11, 6 s. za monety
w Turcji	Ł. 11, 8 s.
w Egipcie	Ł. 15, 6 s.
w Hong Kong	Ł. 16, 6 s.
w Paryżu	Ł. 44 (czarna giełda)

Przemyca się głównie z Meksyku złoto, nabyte za dolary, do Chin i do Francji.

Znakomity ekonomista i gubernator „Banque de France" Charles Rist ocenia, że spekulanci francuscy nabyli już i rozlokowali 2.500.000 kg złota (to jest tyle, ile miała Francja rezerwy przed wojną) i że przemyca się do Francji złota za około dwieście tysięcy funtów tygodniowo, podczas gdy Bank francuski posiada obecnie tylko 706.000 kg złota. Wobec tego proponuje Rist otwarcie w Paryżu jawnej giełdy na złoto i przypuszcza, że wtedy różnice się zmniejszą i waluta francuska ustabilizuje się.

W ten sposób powstałaby konkurencja dla amerykańsko-meksykańskiej giełdy złota.

Międzynarodowy fundusz monetarny

Wśród tak rozbieżnych opinii o wartości złota w stosunku do walut i różnych proporcji samych walut między sobą, Międzynarodowy Fundusz Monetarny „I M F" ogłosił, że z dniem 1 marca 1947 rozpoczyna operację wymiany walut. Dziesięć państw odroczyło.

Ważniejsze ustalenia:

Funt szterling	3.581,34	gr. złota	1 403.000	dol. za sto
Dolar am. i can.	0.888,671	„ „	100.	„
Frank	0.007,461,13	„ „	0.830,583	„
Guilder (Hol.)	0.334,987	„ „	20.000,000	„
Kroner (Norw.)	0.179,067	„ „	20.150	„
Korona (Czsł.)	0.017,773,4	„ „	2	„
Rupia (Indie)	0.268,601	„ „	30.225	„

dla całości lub części państwowych, oznaczenie wysokości walut. Są to: Brazylia, Chiny, Rep. Dominikańska, Grecja, Polska, Jugosławia, Francja na Indochiny i Holandia na Indie Holenderskie.

Ustalenie de jure relacji walut ma pierwszorzędne znaczenie, gdyż „I M F" będzie za złożeniem do dyspozycji własnych walut, oddawał waluty pożądane innych krajów. Wydaje się, że wszystkie państwa leżące obecnie w „strefie sowieckiej" nie będą korzystały, z niezmierną szkodą dla własnego gospodarstwa i obrotów międzynarodowych. Sowiety pozostają również poza tym nowym „clearingiem", ale wobec ich minimalnego udziału w obrotach międzynarodowych (1,2%) nie będzie miało to wielkiego znaczenia dla świata. Czesi natomiast znaleźli się znowu po stronie, która obiecuje większe zyski.

Ceny metali technicznych

Aby dać czytelnikom jeszcze jeden wskaźnik o zmianach wartości i cen na świecie, cytujemy za „Fin. Times" wzrost cen metali technicznych w funtach za tonę:

	Miedź elektrol.	Cynk	Ołów
24.IX.39	Ł. 51 0 s. 0 d.	Ł. 15 0 s. 0d.	Ł. 16 12 s. 0 d.
16.XII.39	Ł. 62 0 s. 0 d.	Ł. 25 15 s. 0 d.	Ł. 25 0 s. 0 d.
4.IV.46	Ł. 72 0 s. 0 d	Ł. 30 5 s. 0 d.	Ł. 45 0 s. 0 d.
1.VII.46	Ł. 84 0 s. 0 d.	Ł. 50 0 s. 0 d.	Ł. 55 0 s. 0 d.
1.I.47	Ł. 117 0 s. 0 d.	Ł. 70 0 s. 0 d.	Ł. 70 0 s. 0 d.

Charakterystyczne jest, że nawet zwyżka cen ołowiu, którego tyle potrzeba na pociski, zaczęła się na prawdę po ukończeniu wojny. Jest nad czym pomyśleć. Podobno jedynie ołów zasłania nieco od zabójczych promieni atomowych.

St.R.

„LIBELLA"

Składnica Książki Polskiej

12 rue St. Louis en l'Ile - Paris IV

poleca wielki wybór książek polskich • słowników • polskich płyt gramofonowych

wysyła na zamówienie książki polskie oraz francuskie do Anglii, Belgii, Luxemburga oraz na całą Francję

ŻĄDAJCIE bezpłatnych katalogów książek polskich i francuskich.

W sprawie konkursu „O.B."

Niżej wymienionych uczestników konkursu-ankiety „Orła Białego", którzy dotychczas nie odebrali przyznanych im nagród, prosimy o podanie aktualnych adresów:

p. Michałowski Ludwik (nagroda pieniężna)
p. Kalinowski Tadeusz (nagroda książkowa)
p. Szczepanowski Zbigniew „Tacitus" „ „
p. Wardziński Zygmunt „ „
p. Znowski Bogdan „ „
p. Zydek Mieczysław (nagroda pieniężna)

Nadmieniamy, że o ile do dnia 15 marca br. wymienieni uczestnicy konkursu nie podadzą adresów, pod jakimi należy im nagrody przesłać, będziemy to uważali za ich rezygnację z nagród.

Uczestników konkursu, którym nagrody zostały wysłane obecnie, prosimy uprzejmie o potwierdzenie ich odbioru.

„Redakcja

PRENUMERATA z przesyłką pocztową:

W. BRYTANII szylingów: miesięcznie 2/6, kwartalnie 7/, rocznie 25/. Należności za prenumeratę nadesłane czekiem, Postal Orderem lub Money Orderem przyjmuje przedstawicielstwo „Orła Białego" Gryf Publications LTD., 50/61 Hatton Garden, London E. C. 1 Tam też należy kierować poszukiwania osób i nekrologi.
W BELGII franków belg.: miesięcznie 20, kwartalnie 60. Należności za prenumeratę wpłacać na rachunek pocztowy Solange Philippe C. C. P. n. 785.066, podając na blankiecie tytuł zamówionego pisma i dokładny swój adres
WE FRANCJI franków fr.: miesięcznie 40, kwartalnie 120, rocznie 480. Zamówienia oraz należność przyjmuje red. TADEUSZ KOŃCZ 80 Bd. de Charonne — PARIS XX, nr. konta pocztowego Paris cc 571302 lub STE „LIBELLA" Librairie — 12, rue St. Louis en l'Ile — PARIS IV, nr. konta pocztowego Paris cc 565150.
W SZWAJCARII franków szw.: miesięcznie 1.50, kwartalnie 4.30. Należność za prenumeratę wpłacać białym czekiem pocztowym (manda. de poste interne) pod adresem: Fribourg 2, Case postale 36.
WE WŁOSZECH lir: miesięcznie 120, kwartalnie 360, rocznie 1440.
W SZWECJI koron: miesięcznie 2.50, kwartalnie 7, rocznie 28. Prenumeratę przyjmują „Wiadomości Polskie", Riddaregatan 25/I, Stockholm.
OGŁOSZENIA na terenie W. Brytanii przyjmuje wyłącznie firma BERRY Company, 437, Grand Buildings, Trafalgar Sq., London W. C. 2. CENA OGŁOSZEŃ: za jeden cal przez łam Ł. 1.—

NADESŁANYCH RĘKOPISÓW REDAKCJA NIE ZWRACA

ADRES REDAKCJI: Bruxelles (Schaerbeek) 186a, Avenue Rogier
WYDAWCA: S. Philippe. Reg. de Comm. No. 141562/41 = Bruxelles

Imprimé en Belgique par Imprimerie Industrielle et Financière „IMIFI" S. A., 4", rue du Houblon, Bruxelles